

**JAN WASHBURN**

**PECHOWA DZIEWCZYNA**  
Tytuł oryginału *FINDERS KEEPERS*

## ROZDZIAŁ 1

Laurie Adams przedzierała się przez szkolny korytarz mocno przyciskając do siebie książki i chroniąc się za nimi. Korytarz przypominał bieżnię, na której uczniowie liceum Chilton urządzili sobie wyścigi. Wystawiła na boki łokcie, żeby zyskać dla siebie więcej przestrzeni. Z całych sił starała się nie słuchać swojej najlepszej przyjaciółki, ale mimo ogłuszającego harmidru rozmów i trzaskania drzwiczek metalowych szafek słowa Jane Gardner docierały do niej jasno i wyraźnie.

- Laurie, powiedz, że to nieprawda. Wyglupiasz się, co? Wiem, że weźmiesz udział w przesłuchaniu do musicalu!

Nawet gdyby udała, że nie słyszy, to nie mogła udać, że nie widzi Jane wiszącej na jej ramieniu. Laurie nabrała powietrza i spojrzała na przyjaciółkę, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, barczysty osiłek, pewnie zawodnik drużyny piłkarskiej, wbił się między nie, odtrącając Jane w tłum, jakby miał do czynienia z bocznym napastnikiem.

Nie poddawaj się, napominała się w myślach Laurie, nie zagrasz w *My Fair Lady*. Jednak mimo tego wewnętrznego postanowienia, wyobraźnia uparcie podsuwała jej pociągające obrazy –wieczór premierowy, kostiumy, światła, scena, muzyka...

Jeszcze nie jest za późno na zmianę zdania, podszeptował jakiś głosik w głowie. Przesłuchania trwają całe popołudnie, będą też jutro.

Laurie zwolniła przed podwójnymi drzwiami prowadzącymi do audytorium. Miała wrażenie, że scena ciągnie ją jak magnes - i w tej właśnie chwili ktoś z całej siły nadepnął jej na stopę.

- Hej! - rozległ się okrzyk pełen pretensji. - Skoro zatrzymujesz się w środku ruchu, może byś przynajmniej dała znak ręką albo coś w tym rodzaju.

- Przepraszam - wymamrotała. Ruszyła z miejsca, czując, że jej policzki stają się równie czerwone, jak jej sweter.

Czar prysł i na marzenia o karierze aktorskiej zapadła ciężka kurtyna. Nie wolno mi już zmieniać zdania, powtarzała sobie w

duchu stanowczo. Chociaż raz w życiu zrobię coś, jak należy!

Tłum zaczął się nieco przerzedzać i w końcu zdołała dotrzeć do swojej szafki. Z ulgą położyła na podłodze podręczniki, które zdawały się ważyć co najmniej sto kilo. Wyjęła z dolnej części szafki kurtkę, gotując się na codzienną walkę z szyfrowym zamkiem kłódki przy górnej półce. Kłódka wisiała wysoko, więc żeby zobaczyć cyfry, Laurie musiała wspiąć się na palce. Nie skończyła jeszcze gmerać przy zamku, kiedy u jej boku pojawiła się Jane.

- Daję słowo, chyba kupię sobie kask i nałokietniki! - stęknęła sfrustrowana.

Wyobraziwszy sobie drobną Jane w rynsztunku footballisty, Laurie prychnęła śmiechem.

- Doskonały pomysł - rzuciła. - Zrobisz karierę sportową i bez egzaminów dostaniesz się na studia.

Znowu zajęła się zamkiem: przyjaciółka wychodziła ze skóry z niecierpliwości.

- Laurie Adams, zostaw to! - zawołała. - Zapomnij o tym kretyńskim zamku i powiedz mi, co się dzieje. Nie możesz nie pójść na przesłuchanie! Jesteś wprost stworzona do roli Elizy Doolittle. Wszyscy tak mówią.

Prostując plecy, Laurie odwróciła się do przyjaciółki.

- Jane, nie idę na przesłuchanie i tyle.

- Ale przecież masz najlepszy głos w całej szkole. Nikt inny nie potrafi tak jak ty zaśpiewać tej roli - jęczała Jane. - Pani O'Connor dostanie zawału, kiedy się dowie, że nie przystąpiłaś do przesłuchania!

Laurie czuła, że jej postanowienie znowu słabnie. Wyobrażała sobie, że jest londyńską sprzedawczynią kwiatów od chwili, gdy pani O'Connor obwieściła, że kółko muzyczne i teatralne zamierzają na wiosnę wystawić *My Fair Lady*. Jak szalona ćwiczyła cockney, akcent, którym posługiwała się londyńska klasa robotnicza, aż jej brat Tom zagroził, że wykupi dla niej bilet w jedną stronę do Anglii. Znała już na pamięć wszystkie piosenki i dialogi i chociaż starała się być skromna, sądziła, że Jane

prawdopodobnie ma rację i rzeczywiście nikt inny nie zagra Elizy Doolittle tak dobrze jak ona.

- Ale dlaczego? - dopytywała Jane. Była wyraźnie nie-szczęśliwa.

- Ponieważ muszę znaleźć sobie pracę - odparła, odwracając się do szafki.

- Pracę? Ale dlaczego teraz? Czemu nie zaczniesz pracować po wystawieniu sztuki? Nie mogłabyś... - Jane niespodziewanie zamilkła.

Zaskoczona tą nagłą ciszą, Laurie zerknęła w jej stronę. Udało jej się też wreszcie otworzyć zamek. Jane przysunęła się i wyszeptała dramatycznie:

- Laurie, Matt Harding stoi tam przynajmniej od pięciu minut i nie wygląda na zadowolonego. Zdaje się, że chce dostać się do swojej szafki.

Laurie poczuła, że gardło jej wysycha, a dłonie wilgotnieją. Matt Harding jest najprzystojniejszym chłopakiem w szkole, ale na tym jego atrakcyjność się kończy, bo z zachowania przypomina górę lodu. Teraz też ziało od niego chłodem, kiedy tak stał oparty o ścianę ze złożonymi na piersiach ramionami i gniewną miną, czekając najwyraźniej na dostęp do swojej szafki, która znajdowała się tuż pod szafką Laurie. Wyglądał tak, jakby z trudem się powstrzymywał, żeby nie zrobić komuś krzywdy. Pewnie chodzi o mnie, pomyślała nerwowo Laurie.

Z nadzieją, że struny głosowe nie odmówią jej posłuszeństwa, powiedziała:

- Och, cześć Matt! Nie wiedziałam, że cię zatrzymuję. Zaraz schodzę ci z drogi.

Pospiesznie wrzuciła książki do zapchanej szafki, po czym zatrzęsnęła metalowe drzwiczki.

- Idziemy - rozkazała, chwytając Jane za ramię i niemalże unosząc ją przy tym z ziemi.

Zrobiły może trzy kroki, gdy za ich plecami rozległ się ogłuszający huk. Brzmiało to tak, jakby cała biblioteka wpadła przez sufit. Laurie zatrzymała się, bojąc się obejrzeć,

obezwładniona obrazami, które podsuwała jej wyobraźnia. Myślała, że na korytarz spadł samolot albo doszło do zderzenia pociągów. Dopiero kiedy spojrzała w dół na swoje ręce i zobaczyła, że trzyma w nich kłódkę, zrozumiała, co się naprawdę wydarzyło. Zapomniałam zamknąć szafkę, uzmysłowiła sobie z przerażeniem. Znowu spowodowałam jakąś katastrofę!

Obie dziewczyny bardzo powoli odwróciły się. Drzwiczki szafki stały otworem. Na podłodze leżał Matt; jego niebieskie oczy strzelały tak wściekłymi błyskami, że mogłyby wystraszyć nawet przybyszów z obcej planety. Wokół wałały się książki, a piłeczki tenisowe podskakiwały wesoło w trzech różnych kierunkach. Kartki z notesu opadały na podłogę niczym jesienne liście. Na jednym z szerokich ramion Matta chybotął się dzienniczek Laurie.

Powinam umrzeć, pomyślała. W tym miejscu i w tym momencie! Nie zasługuję na to, żeby żyć.

Kiedy otworzyła usta, wypłynął z nich dźwięk przypominający skrzek kaczora Donalda w połączeniu z falsetem świnki Piggy.

- M... Matt, tak mi... przykro. My...myślałam, że ją zamknęłam. Nic ci się nie stało?

Chłopak nie odezwał się słowem. Bardzo powoli podniósł się z ziemi, strzepnął z ramienia dzienniczek i depcząc po *Historii Powszechnej* i *Algebrze II*, runął korytarzem do wyjścia.

Laurie odprowadzała go zdumionym wzrokiem. Jestem największą kretynką w historii zachodniej cywilizacji, oceniła siebie w duchu z wyraźnym niesmakiem.

- Och, Jane - westchnęła, kiedy Matt zniknął za rogiem. - Ale się wściekł. Jaka ze mnie idiotka!

Jane milczała. Zasłaniając dłonią usta, starała się zdławić histeryczny śmiech i jedynie trzęsła bezradnie głową.

Nie potrafiąc dostrzec w tej sytuacji nic wesołego, Laurie zabrała się do uprzątnięcia bałaganu. Z ponurą miną zbierała książki, a Jane rzucając się po korytarzu wyłapywała piłeczki tenisowe. Laurie ułożyła książki w szafce, wepchnęła w róg

płeczki, po czym bardzo dokładnie zamknęła drzwiczki, dwukrotnie upewniając się, że dobrze ustawiła szyfr.

Kiedy szły do wyjścia, Jane nadal potrząsała głową.

- Matt nie odezwie się do ciebie do końca życia - zawyrokowała chichocząc.

Zaciągając energicznie suwak kurtki Laurie starała się pokazać, że Matt Harding nic jej nie obchodzi.

- I tak prawie do nikogo się nie odzywa, więc to żadna strata.

- Jest taki przystojny, że nie musi nic mówić - orzekła Jane przewracając oczami. - Założę się, że Elaine Desmond stanęłaby na rękach, żeby tylko przyciągnąć jego uwagę.

Laurie nigdy nie przyznałaby się, nawet przed swoją przyjaciółką, że przystojny Matt działa na nią bardzo podobnie. W marzeniach, które czasami snuła, Matt nagle się przebudza i zauważa ją obok siebie. Jednak nawet w najśmielszych marzeniach nie zdarzyło się jej grzebać go pod stertą książek. Uznała, że po tym niefortunnym wydarzeniu może zapomnieć o nim na zawsze.

Pchnęła frontowe drzwi.

- Idziemy - ponagliła przyjaciółkę.

Jane cofnęła się.

- A więc naprawdę nie pójdziesz na przesłuchanie?

- Jane, powtarzam ci po raz ostatni, naprawdę na nie nie pójdę - potwierdziła z westchnieniem, schodząc już po schodach. - Idę do domu i zamierzam przejrzeć w gazecie ogłoszenia o pracy.

- Ale, Laurie, w Chilton nie znajdziesz żadnej pracy - przypomniała Jane, spiesząc, by do niej dołączyć. - Pamiętasz, że w zeszłe lato nie mogłyśmy znaleźć miejsca nawet w Burger Castle i Food Circus? Kiedy ktoś w tym mieście dostanie już jakąś posadę, nie odchodzi z niej do emerytury albo do śmierci!

Laurie starała się nie słuchać ponurych prorocत्व przyjaciółki, ale wiedziała, że Jane ma rację. Chilton w Massachusetts nie jest dużą miejscowością i trudno tu o pracę, zwłaszcza nastolatkom. Niemniej Laurie nie zamierzała się poddać.

- Muszę jechać na Akcję Pomocy - stwierdziła z naciskiem,

głównie po to, żeby przekonać samą siebie - a to znaczy, że muszę dostać pracę.

- Akcję Pomocy? - powtórzyła Jane. - Czy to nie jest to szalone przedsięwzięcie twojej ciotki Mellisy, związane z pracami społecznymi w Ameryce Południowej?

- Wcale nie jest szalone - cierpliwie wyjaśniła Laurie. - To wspaniały projekt. I nie w Ameryce Południowej. To ma być na St. David, małej wyspie na Karaibach. Ciocia Missy, urządzając te ekspedycje, zawsze zabiera ze sobą kilku uczniów ze starszych klas liceum. Już od lat proszę ją, żeby mnie także wzięła. Aż wreszcie w tym roku uznała, że jestem już na tyle dorosła, żeby móc jej towarzyszyć. Inne dzieciaki już zaczęły zbierać pieniądze na wyjazd.

- Na czym polega ta cała Akcja Pomocy? - zapytała Jane. - To znaczy, jaki jest jej cel?

Laurie poczuła przyływ entuzjazmu.

- No, mamy spędzić na St. David dwa letnie miesiące. Jesienią zeszłego roku straszliwy huragan zniszczył na wyspie prawie wszystkie budynki. My mamy pomóc przy produkcji cegieł potrzebnych do odbudowy szkoły.

Jane jęknęła.

- Laurie Adams, nie wierzę własnym uszom! Naprawdę chcesz zapracowywać się na śmierć przez kilka miesięcy, i to tylko po to, żeby potem pojechać na jakąś zapomnianą przez ludzi wyspę i tyrać dalsze dwa miesiące?

Laurie uśmiechnęła się.

- Och, wydaje mi się, że to wytrzymam. Jestem silniejsza, niż ci się wydaje.

- Ile pieniędzy ci potrzeba? - zapytała Jane.

- Cóż - Laurie z trudem przełknęła ślinę - tylko dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Ta suma pokryje wszystkie wydatki - opłatę rejestracyjną, przelot, zakwaterowanie i posiłki na St. David.

- Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów! - Jane aż sapnęła. - Nie zarobisz tyle forsy przez wieczność!

- Mam nadzieję, że większość tej sumy zyskam z darowizn - odparła, co brzmiało bardzo przekonująco, ale w duchu nie żywiła takiej pewności. - Tata przyrzekł mi pomoc klubu Rotary, do którego należy. Wiem też, że mogę liczyć na moją parafię. Ale ciocia Missy chce, żebym te dwieście dolarów na rejestrację zarobiła sama. Żeby udowodnić, że traktuję akcję poważnie.

- Ale skoro masz wyjechać dopiero w wakacje, dlaczego nie zaczniesz pracować zaraz po wystawieniu sztuki?

Pewność Laurie nieco się zachwiała.

- Bo te dwieście dolarów muszę zdobyć do trzydziestego marca. To ostatni termin wpłaty na rejestrację.

Jane popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Chcesz zarobić dwieście dolarów w trzy tygodnie? To niemożliwe! Nie możesz po prostu poprosić rodziców o te pieniądze?

- Nie - zaprzeczyła Laurie, potrząsając zdecydowanie głową. - I tak całą fortunę wydają na opłacenie studiów mojego brata. Nie mam serca prosić ich nawet o pieniądze na lunch.

- No dobrze, rezygnujesz z udziału w sztuce, bo chcesz znaleźć pracę, ale co będzie, jeśli w końcu okaże się, że jej nie znalazłaś? - dość rzeczowo zapytała Jane. - Przegapisz wszystko.

- Znajdę pracę - upierała się Laurie - i to jeszcze dzisiaj. Wyjazd na Akcję Pomocy znaczy dla mnie o wiele więcej niż jakiś tam musical.

Jednak krocząc pewnie przed siebie, modliła się w duchu, żeby Eliza Doolittle przestała wyśpiewywać w jej głowie: „Deszcz w Hiszpanii pada najczęściej na równinach...”

Bardzo żałowała, że musi wybierać między Akcją Pomocy a sztuką, ale wiedziała, że nie może mieć obu rzeczy naraz. Jest dziewiąty marca i czas ucieka.

Przeszły przez Main Street, przeskakując przez hałdę śniegu zepchniętego pod krawężnik. Zima w Nowej Anglii nigdy się nie kończy, pomyślała Laurie i zanuciła pod nosem: „Mało jest śniegu na Boże Narodzenie!”. Pomyślała o St. David i wyobraziła sobie, jak po ciężkim dniu pracy odpoczywa pod palmą owiewana ciepłą



bryzą.

Wreszcie dotarły do domu. Laurie podniosła ze schodów porzuconą przez roznosiciela popołudniową gazetę.

- Przejrzysz ze mną ogłoszenia? - zwróciła się do Jane.

- No tak, ale nadal uważam, że ten pomysł jest zwariowany - burknęła przyjaciółka. - Za każdym razem, kiedy próbujesz komuś pomóc, wplątujesz się w kłopoty.

- To nieprawda! - sprzeciwiła się ze złością Laurie, szukając w kieszeni kurtki klucza do drzwi.

- Tak? - sarknęła Jane. - A co z płaszczem twojego taty, który oddałaś na wyprzedaż zorganizowaną przez kościół?

Laurie poczerwieniała.

- Musiałam zapłacić tylko pięć dolarów, żeby go odkupić, a cel był zbożny.

- A wtedy, kiedy zbierałyśmy te szklane butelki dla domu opieki? Torba, w której je niosłyśmy, rozpękła się na środku Main Street, pamiętasz?

- Ach, to! - rzuciła wyniośle Laurie. - To było wieki temu. - Dlaczego Jane ma taką fantastyczną pamięć, zastanawiała się, otwierając drzwi. Zapamiętała też pewnie, ile kawałków szkła zebrałyśmy z ulicy!

Weszły do środka i zdjęły kurtki. Laurie wyjęła z lodówki dwie butelki oranżady i zaniósła je do salonu. Podała jedną Jane, po czym usiadła obok niej na kanapie i zaczęła przewracać strony gazety, aż znalazła część z ogłoszeniami.

- Jest „Potrzebna pomoc” - rzuciła z radością.

Jane piła oranżadę, a Laurie przemykała wzrokiem po kolumnie z ogłoszeniami.

- To jest ciekawe! - wykrzyknęła. - Posłuchaj. Recepcjonistka w gabinecie lekarskim, trzy dni w tygodniu.

Zerkając jej przez ramię, Jane na głos odczytała resztę ogłoszenia.

- Wymagana doskonała znajomość obsługi komputera. Laurie zmarszczyła brwi.

- Hm, ciekawe, czy zgodziliby się na średnio zaawansowaną?

- A to? - Jane stuknęła palcem w ogłoszenie z nagłówkiem „Potrzebny sprzedawca”.

Laurie przeczytała resztę.

- Sprzedaż kosmetyków, wymagany własny samochód i możliwość podróżowania po wschodnim wybrzeżu.

- Możesz rzucić szkołę - podsunęła przyjaciółka. Laurie skrzywiła się.

- Tak, racja. Przecież musi być coś, co mogę robić! - Ale wyglądało na to, że poszukiwani są tylko pracownicy na pełny etat z dyplomem ukończenia wyższych studiów albo pięcioletnim stażem.

- Mówiłam, że niczego nie znajdziesz - tryumfowała Jane. - Mamy jeszcze czas, żeby wrócić do szkoły na przesłuchanie.

Nagle Laurie rzuciło się w oczy małe ogłoszenie. Poczowała, że wraca jej nadzieja.

- „Śpiewogramy”. Mężczyzna lub kobieta z dobrym głosem i pewnością siebie do przekazywania śpiewanych życzeń, codziennie po południu i w soboty. Kostiumy na miejscu. Dzwonić do Marjorie Vincent 555 - 0790.

Zerkając na ogłoszenie, Jane zauważyła:

- Tu jest napisane: mężczyzna albo kobieta.

- No tak, a ja kim jestem? - zdziwiła się Laurie, zrywając się na nogi i biegnąc do telefonu. - Cocker - spanielem? To przeznaczenie! Wiem, że tę właśnie pracę miałam dostać!

Szybko wystukała numer i wstrzymała oddech. Po trzecim sygnale w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Śpiewogramy! Sprawiamy przyjemność twoim przyjaciółom i wprowadzimy w zakłopotanie twoich wrogów!

- Mogę rozmawiać z Marjorie Vincent? - zapytała Laurie głosem, który ze zdenerwowania zamienił się w pisk.

- Przy telefonie - odpowiedziała kobieta. - Czym mogę pani służyć?

- Dzwonię w sprawie ogłoszenia w gazecie, tego o śpiewaniu - z entuzjazmem wyjaśniła Laurie.

- Ile masz lat? - podejrzliwie zapytała pani Vincent.

- Szesnaście - wyznała uczciwie - i wszyscy mówią, że mam naprawdę dobry głos. W zeszłym roku grałam Marię w *Sound of Music* w szkolnym przedstawieniu. Nawet nauczyłam się grać na gitarze do tej roli.

Zapadła długa cisza.

- Przykro mi, ale chyba nie mogę przyjąć kogoś tak młodego - stwierdziła w końcu pani Vincent.

- Ale ja jestem bardzo odpowiedzialna. Proszę zapytać moich znajomych! - Tylko nie Matta Hardinga, dodała w myśli.

Znowu cisza.

- Masz jakiś środek transportu?

- O tak - zapewniła. Jej rower z dziesięcioma przerzutkami ma wprawdzie pękniętą oponę, ale to nie problem.

- Nie sądzę, żeby ta praca była odpowiednia dla uczennicy liceum - odrzekła pani Vincent uprzejmie, ale stanowczo. - Dziękuję za telefon, jednak...

- Pani Vincent - przerwała jej Laurie - czy mogłaby pani przynajmniej zapisać moje nazwisko i numer telefonu, na wypadek gdyby zmieniła pani zdanie?

Kobieta niechętnie zgodziła się. Laurie podyktowała jej swoje dane. Odkładając słuchawkę nie mogła jednak oprzeć się przeczuciu, że pani Vincent, nawet jeśli je zapisała, to kartkę z nimi wyrzuci do najbliższego kosza na śmieci.

Jane wstała i założyła kurtkę.

- Jutro po pierwszej lekcji pójdę do pani O'Connor - powiedziała z radością. - Powiem jej, że poprzedniego dnia nie miałaś czasu zgłosić się na przesłuchanie, ale że przyjdiesz do niej zaraz po lekcjach.

Laurie była zbyt przygnębiona, by cokolwiek na to odpowiedzieć. Machnęła tylko Jane na pożegnanie, a po jej wyjściu zapatrzyła się bezmyślnie w fotografię brata stojącą na półce nad kominkiem. Tom omal nie umarł ze śmiechu, kiedy mu oświadczyła, że zamierza wyjechać na Akcję Pomocy. Bardzo się ubawił, słysząc, że jego zwariowana młodsza siostra chce samodzielnie zdobyć tak dużą sumę pieniędzy. Laurie wiedziała,

że brat ją kocha, ale nigdy nie traktował jej poważnie.

- Ale ja nie jestem zwariowana! - powiedziała głośno do fotografii. - Ciocia Missy uważa, że jestem już na tyle dorosła, żeby być odpowiedzialna, i zamierzam tego dowieść i tobie, i Jane. Znajdę pracę i to dzisiaj.

Z nowymi pokładami energii ponownie sięgnęła po gazetę, na której teraz leżała wielka pomarańczowa futrzana kula.

- Amber, jak ty to robisz, że zawsze znajdujesz się tam, gdzie dzieją się najważniejsze rzeczy?! - zawołała do śpiącego kota. W tym momencie odezwał się telefon.

To pewnie mama chce mi przypomnieć o przygotowaniu kolacji, pomyślała. Podniosła słuchawkę.

- Cześć, mamó. Nastąpiła krótka cisza.

- Czy to Laurie Adams? - zapytał kobiecy głos. Nie była to mama.

- Tak, to ja - odpowiedziała Laurie, czując się jak największej klasy idiotka.

- Laurie, mówi Marge Vincent ze Śpiewogramu - przedstawiła się kobieta, a Laurie cicho sapnęła. - Zastanawiałam się nad twoim zgłoszeniem i chciałabym z tobą porozmawiać. Czy mogłabyś wpaść do mnie jutro około szesnastej?

Laurie chciała podskoczyć i głośno krzyknąć: Tak! tak! tak! Jednak jakoś udało jej się opanować podniecenie i odpowiedzieć normalnym głosem.

- O szesnastej jutro, oczywiście.

- To dobrze. A więc do jutra.

Pani Vincent podała jej adres, po czym Laurie spokojnie odłożyła słuchawkę. Zaraz potem pozwoliła sobie jednak na wybuch radości.

- Hurra! - krzyknęła, budząc Amber, która podskoczyła w powietrze i opadła na dół z wygiętym grzbietem i nastroszonym futrem.

Laurie chwyciła ją w ramiona i zaczęła tańczyć po pokoju, aż zakreśliło jej się w głowie. Wreszcie opadła na kanapę. Oszołomiona podnieceniem, zaczęła nucić zszokowanej kotce

swoją drugą ulubioną piosenkę z *My Fair Lady*.

- *Czy to nie byłoby piękne? Piękne, piękne...!*

## ROZDZIAŁ 2

Następnego dnia Laurie siedziała w ławce jak na gwoździach i ze złą miną wpatrywała się w zegar wiszący na ścianie pracowni matematycznej. Chyba się zepsuł! Na pewno! Ostatni raz, kiedy na niego patrzyła, była czternasta pięćdziesiąt pięć, a teraz, całe wieki później, pokazuje czternastą pięćdziesiąt sześć. Kiedy wreszcie odezwie się dzwonek na przerwę?

O spotkaniu z panią Vincent myślała od samego rana i z tego powodu staranniej niż zazwyczaj dobrała ubiór. Miała nadzieję, że dzięki niebieskiej wełnianej sukience, pantoflom na wysokich obcasach i perłach matki wygląda poważniej. Zrobiła sobie nawet specjalnie pleciony warkocz. W rezultacie zupełnie nie przypominała uczennicy liceum. Koleżanki przyglądały się jej ze zdziwieniem, a chłopcy rzucali uszczypliwe uwagi, ale Laurie milczała tajemniczo, niczym się nie przejmując.

Zauważyła kątem oka, że siedząca dwa rzędy dalej Jane wymachuje ręką, starając się przyciągnąć jej uwagę. Poruszała też ustami, ale Laurie nie umiała odczytać, co przyjaciółka chce jej powiedzieć.

Nagle rozległ się dzwonek. Laurie wyskoczyła z ławki i była już w połowie drogi do drzwi, kiedy zatrzymał ją okrzyk Jane.

- Laurie, zaczekaj! Muszę ci coś powiedzieć! Stała więc, pytając samą siebie w duchu, co się z nią dzieje. Przecież spotkanie ma dopiero o szesnastej! Uśmiechając się przepraszająco do przyjaciółki, powiedziała:

- Wybacz, nie chciałam przed tobą uciekać.

- Nie ma sprawy - odparła Jane. - Wiem, że jesteś podniecona wizytą u pani Vincent. Chciałam ci tylko powiedzieć, że pani O'Connor zaproponowała mi rolę suflerki.

- Hej, fajnie! - Laurie naprawdę ucieszyła ta wiadomość. Jane jest trochę wstydliva i niepewna siebie, więc praca z grupą zwariowanych ekstrawertyków z kółka dramatycznego prawdopodobnie wyjdzie jej na dobre.

- Muszę iść po kopię scenariusza - wyjaśniała. - Pójdiesz ze

mną do auli? No wiesz, nawet nie jestem członkiem kółka. Ty znasz tam wszystkich.

Laurie zawahała się. Iść do audytorium i nie zgłosić się na przesłuchanie to tak, jakby pójść do dobrej restauracji i nic nie jeść, tylko przyglądać się innym, gdy zajadają się smakołykami.

- To nam zajmie tylko kilka minut. Błagam cię!

- Dobra - zgodziła się w końcu. - Pójdę z tobą, tylko nie myśl sobie, że zmienię zdanie co do przesłuchania, bo nie mam takiego zamiaru. - Kiedy szły korytarzem, spojrzała podejrzliwie na przyjaciółkę. - Mam nadzieję, że nie podpowiedziałaś pani O'Connor, żeby na mnie trochę ponaciskała?

Ależ skąd! - Jane zrobiła minę niewiniątka. - Ona doskonale rozumie, że zależy ci na tej Akcji Pomocy. Poza tym słyszałam, że wybrała już kogoś innego do roli Elizy Doolittle.

Laurie poczuła w gardle wielką grudę.

Naprawdę? Kogo? - zapytała niby to od niechcienia.

- Prawdopodobnie Elaine Desmond.

Laurie nic nie odpowiedziała na tę nowinę, ale kamień z przełyku zjechał do żołądka i tam zamienił się w głaz. Elaine ma miły głos i na dodatek jest bardzo ładna. I niestety jest tego doskonale świadoma. Zachowuje się jak jakaś primadonna. Laurie już teraz współczuła innym osobom, biorącym udział w przedstawieniu, które będą zmuszone pracować z tą dziewczyną.

Kiedy kilka minut później znalazły się w audytorium, na scenie panował dziki chaos; jacyś chłopcy z hukiem przesuwali pianino, a tłum kandydatów do sztuki tłoczył się wokół pani O'Connor. W pewnej chwili któraś ze stojących na scenie dziewcząt dostrzegła Laurie i powiedziała o tym reszcie. Natychmiast kilka osób, kolegów Laurie z kółka dramatycznego, ruszyło w jej stronę, żeby się przywitać. Jane, która wyglądała jak kot połykający kanarka, poszła po kopię scenariusza.

- Przyszłaś na przesłuchanie? - z nadzieją w głosie zapytała Meg Stockwell.

- Och, tak, powiedz, że tak - dołączyła się błagalnie inna dziewczyna.

Laurie potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Naprawdę nie mogę.

- Jeszcze nie jest za późno - rzucił Dan Evans. - Elain nie dostała jeszcze roli.

- Jeśli to ona zagra Elizę, będziemy zgubieni! - zawołała Judy Burns. - Zachowuje się jak udzielna księżniczka.

Podczas gdy koledzy ją namawiali, Laurie nie mogła się oprzeć, żeby nie zerkać z ciekawością na scenę. A tam akurat jakiś chłopak usiadł do pianina i zaczął grać wstępne takty do *Deszczu w Hiszpanii*. Po chwili na środek wyszła Elaine. Śpiewała, a pani O'Connor uważnie się jej przysłuchiwała. Zielone kocie oczy Elaine spoczywały na Laurie. Buchała z nich zazdrość i niechęć.

Ona myśli, że zjawiałam się tu, żeby odebrać jej rolę, z niesmakiem uzmysłowiła sobie Laurie. I na to właśnie liczyła Jane, ciągnąc ją do auli. Zdrajczyni! Żałowała, że przyszła.

- Muszę już iść - rzuciła z pośpiechem. - Powiedzcie Jane, że idę po kurtkę i czekam na nią przy drzwiach.

- Nie uciekaj przed naszą chmurną panną - błagalnie poprosiła Meg.

Laurie uśmiechnęła się, słysząc, jak nazywały Elaine, ale postanowiła, że musi jak najszybciej opuścić aulę. Drobiąc w pantoflach na wysokich obcasach, pobiegła do swojej szafki, założyła kurtkę, po czym wróciła pod drzwi audytorium, zerkając na zegarek. Zbliżała się piętnasta trzydzieści. Do spotkania z panią Vincent zostało już tylko pół godziny. Gdzie jest Jane? Co ją tam trzyma tak długo?

W tej chwili przyjaciółka wybiegła na korytarz. W ramionach ścisnęła skrypt.

- Przepraszam. Mam nadzieję, że jeszcze nie jesteś spóźniona na spotkanie? - zapytała bez tchu.

- Jeszcze nie - gniewnie odparła Laurie. - Wygłosiłabym ci wykład na temat dwulicowych przyjaciółek, ale nie mam teraz na to czasu. Przyjechałam do szkoły rowerem, więc zdążę - życz mi szczęścia.

- Oczywiście. Będę za ciebie trzymała kciuki - zapewniła



Jane, ściskając jej dłoń. - Zadzwoń, jak tylko wrócisz do domu, OK?

Laurie skinęła głową i pobiegła korytarzem do tylnego wyjścia. Jazda na rowerze w butach na obcasach nie zapowiadała się przyjemnie, zwłaszcza że ulice nadal jeszcze gdzieś były oblodzone. Ale Laurie nic nie mogło powstrzymać.

Opuściła budynek szkoły. Na dworze wiało, aż chłodne powietrze zapierało jej dech w piersiach. Idąc do roweru, który zostawiła w rogu podwórza, dostrzegła, że na stojaku ktoś siedzi. Jakiś chłopak w ciemnoczerwonej kurtce i traperkach. Otulił się ramionami przed zimnem. Laurie poczuła, że ogarnia ją panika, bo w nieznanym rozpoznała Matta Hardinga. Panika wzrosła, kiedy zobaczyła, że w stojaku naprzeciwko siebie stoją tylko dwa rowery. Domyśliła się, że drugi należy do Matta.

Dlaczego on tu siedzi na tym zimnie, zastanawiała się nerwowo.

Kiedy podeszła bliżej, wstał, obrzucając ją lodowatym spojrzeniem.

- Wielkie dzięki, że wreszcie się zjawiłaś - burknął kpiąco.

- Ja... ja nie wiem, o co ci chodzi - odpowiedziała jakając się.

- Ach, chcesz powiedzieć, że nie wiesz, że spięłaś łańcuchem swój rower z moim! - krzyknął, potrząsając łańcuchem, który Laura tego ranka, nie chcąc się spóźnić na lekcje, zakładała z wielkim pośpiechem.

Laurie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Och, nie! - jęknęła. - Boże, ja to zrobiłam? Matt, tak mi przykro! Nie mam pojęcia, jak to się stało. O czym ja myślałam?

- A co tam się będziesz przejmowała? - roześmiał się ochryple. - Czy to ma jakieś znaczenie, że jest prawie pięć stopni poniżej zera i spóźnię się do pracy? Drobnostka. A teraz nie zwracaj sobie głowy przeprosinami, tylko jak najszybciej odepnij ten łańcuch.

Laurie rzuciła się do torebki i zaczęła w niej gorączkowo grzebać, szukając kluczy. Matt milczał nadęty. W końcu je znalazła. Uklękła koło roweru, modląc się w duszy o to, żeby

udało się jej bez kłopotu otworzyć kłódkę, ale oczywiście się zacięła.

- Daj, ja spróbuję - warknął, wyrywając jej klucz z ręki. Jak za dotykem czarodziejskiej różdżki kłódka odskoczyła z trzaskiem. Matt natychmiast ściągnął łańcuch.

- Matt, posłuchaj, jeśli będziesz miał jakieś problemy w pracy, z wielką chęcią wszystko wytłumaczę - zaproponowała piskliwym głosem.

Popatrzył na nią ze złością i wyciągnął rower ze stojaka.

- Wyświadczyć mi tylko jedną uprzejmość - powiedział. - Trzymaj się ode mnie z daleka! - Potem wsiadł na rower i odjechał.

- Naprawdę jest mi przykro - szepnęła Laurie, wpatrując się w jego oddalające się plecy. Była bliska płaczu. Pomyślała, że musi szybko się opanować, bo nie dostanie pracy. Pani Vincent nie przyjmie kogoś, kto *Sto lat* śpiewa ze łzami w oczach.

Nie myśl o Matcie, powiedziała sobie, jadąc Main Street. Myśl o Akcji Pomocy. Myśl o swoich współtowarzyszach, którzy tak jak ty chcą zrobić coś dobrego dla tego świata. Myśl o pomaganiu małym dzieciom na St. David.

Kiedy docierała do granic Chilton, czuła się już lepiej. Wkrótce kolorowa tablica informacyjna stojąca na poboczu drogi upewniła ją, że zbliża się do „Śpiewogramu”. Zsiadła z roweru i poprowadziła go długim podjazdem do starego wiejskiego domku pomalowanego na biało. Oparła rower o poręcz werandy. Potem wzięła dla uspokojenia kilka głębszych oddechów, weszła po schodkach na werandę i zastukała w drzwi miedzianą kołatką.

O Boże, niech ona mnie polubi, modliła się w duchu, słysząc, że ktoś zbliża się do drzwi.

Kiedy się otworzyły, szeroko otworzyła oczy, zaskoczona widokiem, na który zupełnie nie była przygotowana. Przed nią stała mocno umalowana Cyganka o długich kruczych włosach, w mieniącej się kolorami szerokiej spódnicy.

- Cześć! Ty pewnie jesteś Laurie Adams - odezwała się nieznajoma. - Nazywam się Marge Vincent. Zapraszam do środka.

Starając się nie rozglądać dokoła, Laurie poszła za gospodynią przez korytarz do pomieszczenia, które najwyraźniej służyło za studio muzyczne, biuro, a także garderobę.

- Rozgość się, a ja w tym czasie pozbędę się tego kostiumu - pani Vincent machnęła wymownie w stronę zielonego krzesła. - Właśnie wracam z pracy.

Laurie zdjęła płaszcz i przysiadła na brzeżku krzesła, a pani Vincent zniknęła w pokoju obok. Laurie spojrzała na rząd wiszących na przeciwległej ścianie kostiumów: był tam mundur policjanta, ryszunek footballisty z kaskiem, strój kowbojki z wielkim kapeluszem, kostium goryla, kłowna i hawajskiej tancerki. Laurie wyobraziła sobie, że staje przed czyimiś drzwiami, naciska na dzwonek, a potem odśpiewuje życzenia jako kowbojka, policjantka lub kłown - a może nawet goryl? Ten kostium wyglądał tak, jakby ważył sto funtów!

- No, w tym czuję się o wiele lepiej! - W drzwiach pojawiła się pani Vincent. Okazała się atrakcyjną młodą kobietą o kręconych blond włosach i roześmianych wesołych oczach. Opadła na obrotowy fotel stojący przy biurku. - Cieszę się, że mogę cię poznać, Laurie.

- Ja także. To znaczy, chciałam powiedzieć, że bardzo się cieszę, że jednak zgodziła się pani na przesłuchanie mnie - wytłumaczyła niepewnym głosem.

Pani Vincent przeszła bez ogródek do sedna sprawy.

- Powiedz mi, moja droga, z jakiego to powodu sądzisz, że ta zwariowana praca będzie ci odpowiadała?

Laurie ciężko przełknęła ślinę.

- Muszę do lata zebrać sporą sumę, która potrzebna mi jest na wyjazd do pracy na Karaibach. Szukałam w gazecie ogłoszeń, a ponieważ naprawdę lubię śpiewać, pani ogłoszenie od razu zwróciło moją uwagę - ta praca była mi chyba pisana.

Pani Vincent wysoko uniosła brwi.

- Ta praca była ci pisana? Laurie energicznie pokiwała głową.

- Wiem, że jest mi pisane wyjechać na St. David i pomóc

odbudować szkołę dla tamtejszych dzieci, więc to pewne, że ta praca też mi jest pisana.

- Rozumiem. - Ale wyraz twarzy pani Vincent wcale nie potwierdzał jej słów. - A jakie jest zdanie twoich rodziców na temat tej pracy?

- Uważają, że to trochę dziwaczne zajęcie - wyznała szczerze Laurie - ale zgodzili się, żebym przyszła na przesłuchanie.

- Rozumiem - powtórzyła pani Vincent. - No cóż, posłuchajmy, jak śpiewasz. - Wstała i podeszła do pianina. - Znasz *Bonnie leży za oceanem*?

Laurie skinęła głową i także podeszła do instrumentu.

- Jasne.

- Dobrze. - Pani Vincent dała jej do ręki jakąś kartkę, a sama usiadła do pianina. - To jest piosenka, którą napisałam do tej melodii na jutrzejsze pożegnalne przyjęcie. Spróbuj ją zaśpiewać, dobrze?

Podczas gdy grała wstęp, Laurie przeleciała wzrokiem słowa zwrotki, a potem zaczęła śpiewać.

- *Odchodzisz, och, będzie nam ciebie brakować...*

Po chwili wczuła się w nastrój piosenki, więc pozwoliła sobie na pewne urozmaicenie, a na zakończenie rozwarła dramatycznie ramiona.

Potem opuściła je i z niepokojem czekała na werdykt.

Pani Vincent wpatrywała się w nią tak, jakby była kosmitką, która właśnie wpadła do jej domu przez komin.

- Masz całkiem niezły głos, młoda damo. Możesz powiedzieć jeszcze raz, ile masz lat?

- Szesnaście.

- Hm... - Pani Vincent zmarszczyła brwi, na co serce Laurie zamarło. Zrozumiała, że nie ma szans, ale odzyskała nadzieję, kiedy kobieta powiedziała: - Cóż, musimy wypróbować coś jeszcze. Masz głos, to prawda, ale śpiew to tylko część tej pracy. Musisz być także aktorką. Udam, że jestem gościem honorowym na tym pożegnalnym przyjęciu, a ty odśpiewaj dla mnie tę piosenkę. Tym razem zaśpiewasz bez akompaniamentu - na

miejscu przecież nie będzie pianina.

Laurie uśmiechnęła się.

Aktorstwo przychodziło jej tak samo łatwo jak śpiew.

Odkładając kartkę na pianino, przygotowała się do odegrania sceny.

- Nie potrzebujesz słów? - zapytała ze zdziwieniem pani Vincent.

- Już je znam na pamięć - wyjaśniła. - Gdybym miała taką samą pamięć do przedmiotów szkolnych, jak do słów piosenek i tekstu sztuk, byłabym prymuską.

Laurie odniosła wrażenie, że zaimponowała pani Vincent, ta jednak powiedziała tylko:

- Dobrze, spróbujmy. Wchodzisz do pomieszczenia pełnego gości. Co robisz?

Wyobrażając sobie, że zjawia się w kulminacyjnym momencie przyjęcia, Laurie spojrzała z żalem w oczy pani Vincent i zaśpiewała:

- *Wyjeżdżasz i będzie mi ciebie brakowało, do zobaczenia...* - Przyłożyła rękę do serca. - *Całując cię na pożegnanie, zachowamy spokój...* (odgłos głośnych pocałunków) - *dopiero potem usiądziemy i będziemy płakać* - Laurie otarła z twarzy nieistniejące łzy.

- *Zegnaj, zegnaj i pamiętaj o nas.* - Opadła na jedno kolano, składając przy tym dłonie w błagalnym geście. - *Zegnaj, zegnaj i pamiętaj, że zawsze możesz do nas wrócić, że na ciebie czekamy!*

Zerwała się na nogi i wzięła swoją przyszłą pracodawczynię w objęcia. Potem, zawstydzona, że tak się dała ponieść emocji, odsunęła się i zawstydzona spuściła wzrok. Pomyślała, że chyba przesadziła.

Pani Vincent znowu przyglądała się jej tym samym zdumionym spojrzeniem, jakby co najmniej zrobiła się zielona na twarzy, a z głowy powyrastały jej antenki. W końcu powiedziała:

- Laurie, to było niesamowite! Jesteś urodzoną aktorką!

- To samo mówi o mnie mój brat - wyznała dziewczyna z uśmiechem.

Pani Vincent zaczęła się przechadzać po zagraconym pokoju, mamrocząc coś do siebie pod nosem. Odwracając się w końcu, zapytała:

- Jaki masz pojazd?

- Dziesięcioprzerzutkowy - zażartowała Laurie. Kobieta przewróciła oczami.

- Laurie, nie możesz wykonywać tej pracy na rowerze! Będiesz przecież w kostiumie.

- Tak, wiem - odarła. - Ale wpadłam na pomysł, że przerobię nieco rower i założę na niego reklamę Śpiewogramu! Kostium będzie się rzucał w oczy, a tym samym i reklama. Będzie pani miała darmową promocję swojej firmy!

Opadając na fotel, pani Vincent potrząsała z zadumą głową.

- Laurie Adams, co ja mam z tobą zrobić?

- Zatrudnić mnie - z nadzieją w głosie odpowiedziała Laurie, krzyżując palce na szczęście.

Po chwili, która trwała chyba całe wieki, pani Vincent oznajmiła:

- Powiem ci coś. Płacę dwadzieścia dolarów za jeden wyjazd. Jeśli twoi rodzice się zgodzą, przyjdź tu jutro o piętnastej trzydzieści. Zobaczymy, czy się nadajesz.

- Fajnie! - zawołała Laurie. Potem, trochę zbyt późno przypominając sobie, że miała się zachowywać jak dorosła, opanowana osoba, dodała: - Bardzo pani dziękuję, pani Vincent. Nie będzie pani żałowała swojej decyzji, przyrzekam!

### ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia Laurie, naciskając na guzik windy w Domu Handlowym Tracy, czuła, że ma sucho w gardle. Zerknęła w górę na zegar wiszący na ścianie nad rzędem wind i stwierdziła, że dochodzi szesnasta trzydzieści, czas na wykonanie pierwszego w jej życiu zlecenia Śpiewogramu. Kierownik jednego z działów, pan James Thornton, awansował do zarządu sklepu, w związku z czym urządzono mu pożegnalne przyjęcie. Odbywało się ono na trzecim piętrze w biurach.

Na szczęście sklep złożył zamówienie na posłańca ubranego w tradycyjny strój, a nie na przykład na dzina z bajek arabskich albo hawajską tancerkę, tak więc żakiet, który miała na sobie Laurie, spodnie i czapeczka z logo Śpiewogramu nie budziły większego zainteresowania otoczenia.

Wchodząc do windy, Laurie cieszyła się, że spodnie są szerokie, dzięki czemu nie było widać, jak trzęsą jej się nogi.

To nie czas na panikę, powiedziała do siebie stanowczo, poprawiając muszkę i naciągając głębiej czapeczkę. Pamiętaj, że pani Vincent liczy na ciebie, a tobie zależy na tej pracy. Jednak jadąc do góry, nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że jej żołądek pozostał na parterze.

Wreszcie dotarła na trzecie piętro, wyszła z windy i zaczęła iść przed siebie niepewnie, jakby kroczyła po polu minowym. Słyszała śmiechy i głośne rozmowy dochodzące z odległego końca korytarza, więc skierowała się w tamtą stronę.

Im bliżej była drzwi, tym bardziej czuła się zdenerwowana. Trema przed występami opuszczała ją zazwyczaj w momencie, kiedy unosiła się kurtyna, ale granie i śpiewanie w samym środku publiczności to zupełnie nieznanie jej doświadczenie. Całkiem poważnie zastanawiała się nad rezygnacją z całego przedsięwzięcia, gdy nagle drzwi się otworzyły i uśmiechnięta młoda kobieta wciągnęła Laurie do zatłoczonego pokoju.

- Jesteś dokładnie na czas - powiedziała. - Nazywam się Charlotte Smith, jestem sekretarką pana Thorntona. To on, ten w

ciemnoniebieskim garniturze, stoi koło stolika z napojami.

Laurie wpatrywała się przez chwilę w wysokiego mężczyznę, nie mogąc się poruszyć.

- Idź do niego! - ponagliła pani Smith i lekko ją popchnęła.

Pamiętaj o Akcji Pomocy, upominała się w duchu. Wyprostowała ramiona i ruszyła w stronę gościa honorowego.

- Mam wiadomość dla pana Jamesa Thorntona - powiedziała głośno.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Reszta gości podeszła bliżej. Laurie, widząc ich zainteresowanie, nagle przestała się denerwować. Zapomniała o drżących kolanach i włożyła w grę całą duszę, podobnie jak poprzedniego dnia u pani Vincent.

Ściany pokoju zdrząły od śmiechu gości, w chwili gdy pochwyciła dłoń pana Thorntona i zajrzała mu z rozżaleniem w oczy, w których malowało się całkowite zdumienie. Kiedy zaczęła udawać, że płacze, kilka osób rzuciło w jej stronę papierowe chusteczki, a gdy upadła na kolano z błaganiem, by pan Thornton nie zapominał swoich współpracowników, wszyscy jak jeden mąż zaczęli bić jej brawo.

Przy *grand finale*, gdy zarzuciła kierownikowi ręce na szyję, publiczność wiwatowała. Laurie miała świadomość, że jej twarz płonie, ale pan Thornton był jeszcze bardziej czerwony. Jednak, mimo zmieszania, uśmiechał się szeroko.

- Poncz i ciasto dla posłańca - zarządził. - Prawie mnie przekonała, żebym został!

- Wspaniały występ! - wykrzyknęła pani Smith i uścisnęła Laurie. Potem zaciągnęła ją do stolika z jedzeniem, podała jej szklankę z ponczem i nałożyła na talerz górę kanapek i ciasteczek. Laurie ze zdumieniem stwierdziła, że nagle stała się punktem centralnym uroczystości, a także przekonała się, że nie jest łatwo utrzymać talerz i szklankę, kiedy co chwila ktoś chce ci złożyć gratulacje lub poklepuje z aprobatą po plecach.

Jakoś zdołała skonsumować poczęstunek i skierowała się do drzwi, chcąc wyjść, ale zatrzymała ją pani Smith.



- To dla ciebie - powiedziała, wsuwając jej w rękę pięciodolarówkę.

Zmieszana Laurie wpatrywała się w banknot.

Och, dziękuję, ale moja szefowa nie mówiła nic o napiwkach...

Zatrzymaj to - nalegała kobieta. - Byłaś doskonała. A swojej szefowej możesz powiedzieć, że od dzisiaj wiele z obecnych tu osób będzie korzystało z usług Śpiewogramu!

Laurie zjechała na dół tak, jakby winda nie była windą, tylko zaklętym latającym dywanem. Każdy zarobiony dolar przybliżał ją do St. David i Akcji Pomocy.

Wróciła do biura i opowiedziała o swoim debiucie. Pani Vincent była zachwycona. Oświadczyła, że przyjmuje ją na stałe i że pozwala jej zatrzymywać wszystkie napiwki. Wyjaśniła przy okazji, w odpowiedzi na nieśmiałe pytanie Laurie, że w roli goryla występuje jej sąsiad ważący dwieście pięćdziesiąt funtów.

Pod koniec tygodnia Laurie czuła się jak profesjonalistka. Przez ten czas miała jeszcze dwa zlecenia i dzięki temu mogła złożyć w banku na rzecz Akcji Pomocy całe sześćdziesiąt pięć dolarów. Jane była pod wrażeniem, kiedy Laurie poinformowała ją o tym z dumą przez telefon w piątkowy wieczór.

- Już zdążyłaś zarobić sześćdziesiąt pięć dolarów? To niewiarygodne! - wykrzykiwała.

- Prawda? - z radością przytakiwała Laurie. - Pani Vincent powiedziała wprawdzie, że nie będzie miała dla mnie pracy na każde popołudnie, ale do tej pory nie wypadł mi nawet jeden dzień. Wczoraj była pięćdziesiąta rocznica ślubu państwa Collinsów. Staruszkowie mają hopla na punkcie kotów, więc udałam się do nich w przebraniu wielkiego czarnego kota z długimi wąsiskami i ogonem. - Zachichotała. - Byli tak zachwyceni, że kazali mi poczekać i poszli po swoje persy, żeby one także posłuchały, jak śpiewam! Jane wybuchnęła śmiechem.

- To musiała być niezła zabawa.

- A dzisiaj występowałam na przyjęciu dla pana Yeatsa w banku - ciągnęła Laurie. - Odchodzi na emeryturę i wyjeżdża do

Teksasu, dlatego wystąpiłam w przebraniu kowbojki. Grałam na gitarze i zaśpiewałam piosenkę ułożoną przez panią Vincent do muzyki *Domku na prerii*.

- Jak ci się udało utrzymać na rowerze z gitarą?

- Musiałam jechać bardzo wolno - wyjaśniła Laurie. - Ale jutro czeka mnie prawdziwe wyzwanie. Wystąpię na urodzinach jakiegoś dziecka w przebraniu kłowna i mam zabrać ze sobą mnóstwo balonów.

- To brzmi skomplikowanie - stwierdziła Jane.

- Och, dam sobie radę. Za dwadzieścia dolarów poradzę sobie ze wszystkim! - I zmieniając temat, dodała: - A co tam u ciebie? Nic nie mówisz o *My Fair Lady*?

- Chyba wszystko układa się dobrze - odparła Jane. - To znaczy, to jest pierwsza sztuka, przy której pracuję, ale mam wrażenie, że wszystko idzie, jak należy.

- Cieszę się.

Laurie starała się o to, żeby w jej głosie brzmiał entuzjazm, ale czuła się lekko zawiedziona, że dają sobie tak dobrze radę bez niej. Jane znowu zaczęła coś mówić, ale Laurie nie słuchała jej naprawdę. Życie byłoby idealne, myślała, gdybym tylko zapomniała o tym musicalu i o Matcie Hardingu. Chociaż w rzeczywistości Matt unikał jej, jakby była zadzumiona, to w myślach nachodził ją wielokrotnie, i to w najbardziej niespodziewanych sytuacjach, tak jak na przykład w tej chwili.

- ....ale zachowanie Elaine wszystkich doprowadza do rozpacz - kończyła swoją opowieść Jane. - No dobra, życzę powodzenia przy jutrzejszym występie w roli kłowna i bądź ostrożna na rowerze.

- Dobrze - przyrzekła Laurie.

To przyrzeczenie przypomniało jej się następnego popołudnia, gdy jechała do domu pani Vincent. Dostrzegła wtedy na niebie wielkie czarne chmury i wiedziała, że nie uniknie kłopotów. Przeczucia jej nie myliły. Po pierwsze, pani Vincent poinformowała, że chodzi o urodziny Bobby'ego Desmonda. Ponieważ w Chilton mieszka tylko jedna rodzina Desmondów,

jasne było, że Bobby to młodszy brat Elaine. Po drugie, kostium kłowna okazał się trzy numery za duży. Kiedy Laurie go założyła, rękawy zwisały do ziemi, a w spodniach po prostu tonęła.

Pani Vincent zajęła się napełnianiem helem balonów, a Laurie, korzystając z wolnej chwili, znalazła kilka kolorowych wstążek i obwiązała nimi nogi, żeby spodnie nie wkręcały się w szprychy roweru. Potem zabrała się do makijażu - czyli pomalowała twarz na białą, zrobiła sobie szerokie smutne usta i przylepiła wielki, czerwony nos. Włosy wetknęła pod pomarańczową perukę, a do niej przyczepiła pogięty kapelusik. Wyglądała tak idiotycznie, że patrząc na swoje odbicie w lustrze, nie umiała się powstrzymać i głośno się roześmiała.

- Laurie, nie jestem pewna, czy dasz sobie radę w tym kostiumie na rowerze - rzuciła pani Vincent, wyglądając przez okno na zachmurzone niebo. - Zdaje się, że będzie burza. Lepiej zawiozę cię samochodem.

- Nie, naprawdę, dam sobie radę - odpowiedziała szybko. Wiedziała, że szefowa ma dużo pracy w biurze. Poza tym chciała jej pokazać, jaka jest zaradna i niekłopotliwa. - Gdybym miała jakieś problemy, zawiadomię panią.

Zanim pani Vincent zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, chwyciła za sznurki balonów i przywiązała je do rączki roweru. Potem sprawdziła, czy znak Śpiewogramu dobrze się trzyma, i ruszyła z podjazdu, kątem oka zerkając na zbierające się nad nią chmurzyska.

Desmondowie mieszkali po drugiej stronie miasta, a Laurie miała się u nich pojawić o czternastej, tuż przed pokrojeniem tortu. Nie chciała się spóźnić, ale za każdym razem, gdy próbowała szybciej pedałowac, sznurki od balonów plątały się straszliwie. Widząc jej śmieszny kostium i chmurę balonów ciągnącą się za nią, przechodnie uśmiechali się do niej i wesoło machali. Nie była w stanie im odmachnąć, bo nie mogła oderwać rąk od kierownicy, więc tylko się uśmiechała i kiwała głową.

Odetchnęła z ulgą, kiedy skręciła w Mapie Lane. To była cicha i spokojna ulica. I mimo że zaczął wiać silniejszy i

zimniejszy wiatr, a chmury nadal się zbierały, Laurie wciąż jeszcze wierzyła, że zdąży dojechać do Desmondów przed ulewą.

Zbliżała się właśnie do domku znanego w mieście dziwaka, pana Allertona, gdy nagle wiatr nabrał mocy i niemalże zerwał jej z głowy perukę i kapelusik. Niewiele myśląc oderwała dłoń od kierownicy, chcąc przytrzymać perukę, a wtedy wiązka balonów, gnana podmuchem, przejęła kontrolę nad rowerem, kierując go prosto na wielki głaz, który stał tam, by wyznaczać koniec drogi dojazdowej należącej do posiadłości Allertona. Zanim Laurie zdążyła cokolwiek uczynić, rower uderzył w kamień, a ona znalazła się w powietrzu. Po chwili ciężko opadła na ziemię.

Przez jakiś czas leżała nieruchomo z zaciśniętymi oczami, sprawdzając, czy jest w stanie głębiej nabrać powietrza.

Potem, bardzo powoli, otworzyła oczy i stwierdziła, że świat wokół niej wiruje, jakby była na karuzeli. Przywarła do ziemi, czekając, aż szaleńczy wir się uspokoi.

W tyle głowy czuła ćmiący, pulsujący ból. Popatrzyła po sobie: dwie ręce, dwie nogi, wszystko na miejscu. Nie wygląda na to, żeby coś się zapodziało. Potem zerknęła w stronę roweru i aż jęknęła. Przednie koło było złożone na pół jak omlet. Znak Śpiewogramu upiększał obecnie głaz pana Allertona, a balony huśtały się na pobliskim drzewie niczym kuropatwy. Laurie zaczęła rozglądać się dokoła z desperacją, gdy nagle na policzku poczuła dużą kroplę deszczu.

- Hej! Tam na dole! Wszystko w porządku? - usłyszała czyjś głos. Chwilę później dotarł do niej tupot nóg na schodach, a potem kroków na podjeździe. Kiedy podniosła głowę, uznała z miejsca, że ma halucynacje, bo w jej stronę biegł chłopak bardzo podobny do Matta Hardinga.

Szybko zamknęła oczy. To wszystko jej się tylko śni. To jest tylko jakiś senny koszmar! Ale gdy leciutko uniosła powiekę, przekonała się, że pochyla się nad nią nie kto inny, tylko właśnie Matt. Och, dlaczego on zawsze pojawia się wtedy, gdy ona znajduje się w samym centrum katastrofy?

- Laurie, to ty? - zapytał, klękając tuż koło niej. - Widziałem,

jak się przewróciłaś. Wszystko w porządku? Nic łobie nie złamałaś?

Chyba... chyba nie - wymamrotała. Czowała ból w żebrach, plecach, łokciach i kolanach. Najchętniej by się rozplakała, ale wstydziła się zrobić to na oczach Matta. Poza lwią popsułaby sobie makijaż.

Matt usiadł obok i przyglądał się jej z irytacją, która teraz, gdy już przekonał się, że jest cała i zdrowa, zastąpiła wcześniejszą troskę.

- Jak ci się udało zrobić coś takiego?

Laurie powoli usiadła, jęcząc przy każdym ruchu, bo bolały ją wszystkie mięśnie.

- Jechałam na urodziny do Bobby'ego Desmonda - wyjaśniła.

- Powinłam się tam zjawić za kilka minut, ale wpadłam na ten głaz. Połamał mi się rower, a balony poleciały na drzewo i... i... - Nie była w stanie mówić dalej, ponieważ wstrzymywane łzy utworzyły w jej gardle wielką grudę.

- Mogłaś sobie złamać kark! - z gniewem zauważył Matt. - Kogo w takiej sytuacji obchodzi rower i balony!

- Mnie! - krzyknęła. - Muszę dotrzeć do miejsca mojej pracy!

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytał, podnosząc się.

Skinęła głową na potwierdzenie. Znowu na policzek opadło jej kilka grubych kropli deszczu.

- W porządku. Jeśli Gramps pożyczy mi samochód, zawiozę cię. Nie ruszaj się - rozkazał. - Stój tu, dopóki nie wrócę.

Laurie patrzyła za nim ze zdumieniem, zbyt zaskoczona, żeby podziękować za propozycję pomocy. Czy to możliwe, że Matt przyjaźni się z panem Allertonem? W Chilton na tego starca wszyscy mówią Gramps i jest on najbardziej nielubianą osobą w mieście. Sprawia wrażenie wiecznie zagniewanego, może przez to, że jego siwe włosy są zawsze zmierzwiłone, podobnie jak broda, a poza tym kiedy tylko ktoś, nawet przypadkowo, znajdzie się na terenie jego posesji, Allerton wrzeszczy jak oszalały i wymachuje laską. Dzieciaki opowiadają sobie o nim przerażające

historie rodem z horrorów.

Laurie porzuciła rozmyślenia o Allertonie i zaczęła się zastanawiać, czyby nie spróbować wstać o własnych siłach, gdy do jej uszu dotarł dziwaczny hałas. Przestraszona, że oto zaczyna się burza, podniosła oczy na niebo. Dopiero potem zdała sobie sprawę, że hurkot dobiega od strony ulicy, po której toczył się jakiś stary samochód. Za kierownicą siedział Matt. To był zabytkowy model ford, ale doskonale utrzymany. Czarna karoseria lśniła tak, jakby auto dopiero co wyjechało z fabryki.

Zatrzymało się tuż koło niej, po czym Matt wysiadł i rozejrzał się dokoła z namysłem.

- Myślę, że uda mi się dosięgnąć balonów, jeśli stanę na dachu - mruknął pod nosem.

Ściągnął buty i wspiął się po bagażniku na dach samochodu.

- Gramps mnie zabije, jeśli zrobię choć jedną rysę na lakierze  
- rzucił do Laurie.

Przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami. Deszcz rozpadał się już na dobre.

- Wsiadaj do wozu! - zawołał. - Nie ma sensu, żebyśmy mokli obydwój!

Wstała i szybko wskoczyła do kabiny. Nad sobą słyszała kroki oraz uderzenia kropli deszczu. Po chwili zobaczyła, że Matt zeskakuje na ziemię w jednym ręku ściskając sznurki balonów, drugą podnosząc buty. Pochyliła się i otworzyła drzwi od strony kierowcy, a on wrzucił do środka najpierw buty, potem balony i w końcu wsiadł sam.

## ROZDZIAŁ 4

Matt był tak przemoczony, że woda z włosów spływała mu na twarz i szyję.

- Masz zlecenie od Desmondów, tak? Mieszkają chyba przy Oak Drive? - mruknął spoglądając na Laurie.

Skinęła głową.

- Tak, mam tam być na czternastą. Która jest teraz?

- Piętnaście po - odparł, zerkając na zegarek. Wcisnął sprzęgło, wrzucił jedynkę i ruszyli.

Laurie zagryzła usta. Co będzie, jeśli Desmondowie odeślą ją z powrotem, bo się spóźniła? Jak wtedy spojrzy w twarz pani Vincent? A co z jej rowerem? Chciała nawet zapytać Matta, czy, jego zdaniem, rower nadaje się do naprawy, ale postanowiła tego nie robić. Bała się, widząc ponury wyraz jego oczu w lusterku wstecznym, że kiedy się do niego odezwie, jeszcze rzuci się na nią i ją ugryzie.

Wygląda tak, jakby był wykuty w skale, pomyślała. Ciekawe, czy on kiedykolwiek się rozluźnia?

Dopiero po kilku sekundach zauważyła, że kąciki jego ust drżą tak, jakby starał się pohamować śmiech.

- Laurie Adams - powiedział wreszcie - muszę przyznać, że rzadko się spotyka kogoś, kto ma takiego pecha jak ty!

Laurie czuła, że pod makijażem robi się czerwona.

- Zdaje się, że masz rację - przyznała ze smutkiem.

- Czy masz pecha zawsze, czy tylko kiedy ja się pojawiaam? - Rzucił jej szybkie spojrzenie, w którym dostrzegła wesołe ogniki.

- Zdaje się, że twoja obecność dodaje mi skrzydeł. - Westchnęła. - Na ogół w moim życiu panuje spokój.

Po tych słowach Matt odchylił głowę w tył i zaczął się głośno śmiać. Laurie nie wierzyła własnym uszom. Jest przemoczony do suchej nitki, prowadzi samochód bosymi stopami, dokoła szaleje burza, która przeraziłaby nawet Noego, a on mimo to pęka ze śmiechu, jakby usłyszał najlepszy dowcip pod słońcem!

Kiedy wreszcie uspokoił się na tyle, by móc wydusić z siebie

głos, powiedział:

- Dla ciebie spokojny dzień to pewnie taki, w którym nikt nie ląduje w pogotowiu. - Potem już poważniej dodał: - Powiedz mi coś, Laurie. Dlaczego znalazłaś sobie taką dziwną pracę?

- Ponieważ potrzebuję pieniędzy.

- Na co? Naprawdę bardzo mnie to ciekawi. Rzeczywiście wyglądałaś na ogromnie zaintrygowaną, więc po chwili wahania postanowiła opowiedzieć mu o Akcji Pomocy i o tym, ile ta wyprawa dla niej znaczy. Kończyła akurat w momencie, gdy dojeżdżali do bramy obszernego domu Desmondów.

Matt zatrzymał samochód i spojrzał na Laurie z nowym wyrazem w niebieskich oczach. Był w nich szacunek.

- To fajny pomysł - orzekł. - Nieczęsto spotyka się ludzi, którzy tak ciężko pracują, żeby pomóc innym. Życzę szczęścia, Laurie.

- Dzięki - mruknęła, czerwieniąc się z zadowolenia. Potem, patrząc przez okno na zalewany strugami deszczu dom Desmondów, dodała: - Teraz albo nigdy.

- Popraw perukę - podpowiedział, z trudem powstrzymując śmiech. - I zdaje się, że nos ci zaraz odpadnie.

- Och, nie! - sięgnęła do pomarańczowych loków, a potem już nieco zniecierpliwiona, mocno przycisnęła do twarzy czerwoną bulwę. Ani razu po tym, jak niespodziewanie znalazła się na orbicie okołozemskiej, nie pomyślała o swoim wyglądzie. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że jej kostium jest zakurzony i przekrzywiony. - Co ja teraz zrobię? - jęczała. - Wyglądam strasznie!

- Po prostu udawaj, że właśnie tak miałaś wyglądać - poradził wesoło. - Dzieciaki się nie poznają.

Ale Elaine tak, pomyślała. Nie chciała, by widziano ją w takim stanie. Najchętniej wczołgałaby się w tej chwili pod siedzenie, ale nie mogła się już wycofać. Postanowiła, że musi spróbować, chyba że Desmondowie zrezygnują z jej usług.

- Zdaje się, że nie mam wyboru - powiedziała na głos, zbierając poplątane sznurki balonów.



Matt pomógł jej otworzyć drzwi.

- Zaczekam tu na ciebie - zapowiedział.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i ruszyła w burzę. Woda uderzała we frontowe schody domu niczym miniaturowy wodospad. Wcisnęła dzwonek. Czy ktoś go w taką ulewę usłyszy?

Wbrew jej obawom w drzwiach od razu pojawiła się pokojówka. Dzięki Bogu, że nie Elaine, ucieszyła się Laurie.

- Śpiewogram do państwa Desmondów - powiedziała najweselej, jak umiała.

Pokojówka wyglądała na zaskoczoną, ale wpuściła gościa.

- Powiem pani Desmond, że jesteś - poinformowała i zostawiła Laurie w korytarzu. Woda z kostiumu spływała na dywan, tworząc na nim wielką kałużę.

- Ha, zobaczcie państwo, co to nam kot przyniósł ze śmietnika!

Laurie skuliła się na widok Elaine wchodzącej do przedpokoju. W modnych obcisłych dżinsach i białym swetrze wyglądała jak modelka i Laurie, porównując się z nią, stwierdziła, że jeszcze nigdy nie czuła się takim obszarpańcem jak w tym momencie.

- Cześć, Elaine - powiedziała z nadzieją, że jej głos nie zdradza, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

- Spóźniłaś się - warknęła Elaine. - Bobby już pokroił tort.

- Przepraszam - odpowiedziała sztywno. - Miałam po drodze kłopoty.

Elaine wyjrzała przez okno i uniosła brwi.

- Widzę, że wymieniłaś rower na forda. Odkąd to przyjaźnisz się z Grampsem Allertonem?

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratowało ją pojawienie się pokojówki.

- Proszę za mną - powiedziała. - Dzieci są w salonie.

Cóż, przynajmniej mnie nie wyrzucili, dumiała Laurie, idąc za służącą ze zwieszoną głową. Za plecami słyszała kroki Elaine.

Salon znajdował się na niższym poziomie domu i dochodziła z niego wesoła dziecięca paplanina i śmiechy. Laurie stapała po

schodach, ale nagle zatrzymała się, czując, że nie może zrobić kroku. Zorientowała się, że przydepnęła dół obszernych spodni. Starając się z nich zejść, straciła równowagę i poleciała w dół po trzech ostatnich stopniach. Wylądowała na kolanach, ale o dziwo nie wypuściła z ręki wiązki balonów. Elaine parsknęła śmiechem.

Poczuła zawrót głowy, jednak szybko ją uniosła i popatrzyła przed siebie. Wokół stołu siedziały dzieci i wpatrywały się w nią w milczeniu. Co gorsza, pani Desmond nagrywała całą scenę kamerą. Co ja mam teraz zrobić, zastanawiała się w duchu Laurie, czując ogarniającą ją falę paniki. Potem przypomniała sobie słowa pani O'Connors, która zawsze w czasie prób powtarzała, że jeśli aktor się pomyli, nie powinien przerywać, tylko udawać, że tak miało być, i grać dalej.

Na czworakach podeszła do małej dziewczynki siedzącej przy końcu stołu i pociągnęła ją za rąbek szykownej sukieneczki.

- Ty jesteś Bobby Desmond? - zapytała skrzeczącym głosem. Dzieci wybuchnęły śmiechem.

- To nie jest Bobby! - zawołało któreś z nich. Udając irytację, Laurie podczołgała się do następnego dziecka, małego chłopca, który widząc kłowna zmierzającego w jego stronę, zaczął chichotać.

- To ty jesteś Bobby Desmond? - zapytała. Tym razem wszystkie dzieci zawołały zgodnie:

- To nie jest Bobby!

Robiły się coraz bardziej podekscytowane, a Laurie podchodziła po kolei do każdego, niby to szukając solenizanta. Kiedy w końcu dotarła do szczytu stołu, gdzie siedział Bobby, dzieciaki szalały z radości.

- To ty musisz być Bobbym Desmondem, tak? - powiedziała i ciężko sapnęła na dowód tego, jak bardzo wyczerpały ją poszukiwania.

- Tak! To jest Bobby! - zakrzyknęły z entuzjazmem dzieci, aż Laurie zaniepokoiła się o swoje bębenki w uszach.

- Och, dzięki Bogu, że cię znalazłam! - zaskrzeczała. - Gdzie się ukrywałeś?

- Byłem tutaj przez cały czas! - odpowiedział chłopczyk i zachichotał.

- Mam coś dla ciebie - oświadczyła Laurie. Wzięła Bobby'ego za rękę i zaprowadziła go na środek pokoju, a za nimi poszła reszta dzieci. Laurie dopiero w tej chwili zorientowała się, że w salonie pojawili się też wszyscy członkowie rodziny Desmondów, zapewne chcąc zobaczyć jej występ. Ignorując kpiące spojrzenie Elaine, zaczęła śpiewać, przy końcu każdej zwrotki podając Bobby'emu jeden balon.

*Pierwszy balon dostał Bobby,  
kiedy się nauczył chodzić,  
Drugi, kiedy zaczął biegać,  
Trzeci, kiedy dosiadł drewnianego konika,  
Czwarty, kiedy na rower wsiadł.  
Piąty, kiedy nauczył się pływać.  
Szósty za to, że poszedł do szkoły,  
Siódmy za to, że nie da się nikomu okpić.  
A teraz ma osiem lat i jest naprawdę kimś.  
Wszystkiego najlepszego, Bobby!*

Dzieciaki wiwatowały i klaskały, a Bobby uśmiechał się szeroko. Zadowolona z jej występu pani Desmond starała się namówić Laurie, żeby została na cieście i lodach, ale dziewczyna pokręciła przecząco głową.

- Dziękuję bardzo - powiedziała - lecz ktoś czeka na mnie w samochodzie. Przynajmniej mam nadzieję, że jeszcze czeka, pomyślała.

- Szkoda, że nie możesz zostać. Bardzo nam się podobała twoja piosenka - stwierdziła pani Desmond, uśmiechając się do niej ciepło. - Elaine, czy mogłabyś odprowadzić naszego wspaniałego kłowna do drzwi?

Elaine zarzuciła głową, ale ruszyła w górę po schodach. Laurie poszła za nią, choć oczywiście po drodze jeszcze raz potknęła się o spodnie. Udając, że to część występu, nie przestawała machać dzieciom na pożegnanie.

Kiedy tylko matka znalazła się poza zasięgiem jej głosu,

Elaine wypaliła:

- Naprawdę, Laurie, na twoim miejscu wołałabym najmniejszą rolę w sztuce niż tę głupią pracę, w której musisz zakładać na siebie takie idiotyczne kostiumy i wydziczać się przed bandą dzieciaków!

Laurie zdawała sobie sprawę, że próba wytłumaczenia Elaine idei Akcji Pomocy przypominałaby próbę wyjaśnienia chomikowi teorii względności Einsteina. Jeśli Elaine kiedykolwiek komuś pomogła, to musi to być najlepiej chroniona tajemnica pod słońcem.

- Jak idzie sztuka? - zapytała wymijająco.

Dotarły do drzwi i z ciekawością zerknęła na zewnątrz, chcąc się przekonać, czy stary samochód nadal stoi przed domem. Z ulgą stwierdziła, że tak.

- Cóż, do zobaczenia - rzuciła wesoło. - Życzę powodzenia przy *My Fair Lady*.

Elaine przez chwilę wyglądała na zmieszaną, jakby podejrzewała, że w słowach koleżanki kryje się jakiś niemiły podtekst, ale Laurie pomachała jej wesoło i wybiegła na deszcz. Kostium wchłaniał w siebie wodę jak gąbka, więc kiedy dobiegła do samochodu, ważył już chyba tonę.

Spodziewała się, że Matt, znudzony czekaniem, przywita ją naburmuszoną miną, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że siedzi spokojnie z głową opartą o fotel i zamkniętymi oczami, jakby spał. Kiedy wsunęła się na przednie siedzenie obok niego, otworzył oczy i uśmiechnął się ciepło, aż nie mogła uwierzyć, że to ten sam Matt Harding, który jeszcze kilka dni temu kazał jej trzymać się z daleka od siebie.

- Jak poszło? - zapytał włączając silnik.

- Zupełnie nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności - odpowiedziała. Spojrzała na zabrudzony kostium i dodała ze smutkiem: - Mam nadzieję, że nie stracę pracy, kiedy pani Vincent zobaczy kostium! A poza tym mój rower - jeśli nie da się go naprawić, nie będę miała jak dostarczać Śpiewogramów, nawet gdy nie zostaną wylana.

Choć niebo zaczęło się już przejaśniać, a deszcz zamienił się w srebrzysty kapuśniaczek, w głowie Laurie zbierało się coraz więcej czarnych chmur. Jeśli straci pracę, nie uda jej się zebrać pieniędzy na Akcję Pomocy. A miała na to jeszcze tylko dwa tygodnie.

- Podjedziemy do Grampsa i zerknijemy na rower - powiedział Matt, ruszając z miejsca. - Może nie jest tak źle, jak to wygląda.

Po kilku minutach zatrzymali się przed domem pana Allertona. Matt, a za nim Laurie, wysiedli z samochodu i podeszli do powyginanego roweru. Matt podniósł go i dokładnie obejrzał.

- Wiesz co, Laurie, oprócz przedniego koła wszystko jest w nim w porządku - oznajmił w końcu. - Jeśli kupisz nowe koło i oponę, mogę ci je zmienić. Trzeba jeszcze wyprostować kierownicę, ale zrobię to sam. Masz pieniądze? Moglibyśmy od razu przejść się do sklepu z częściami rowerowymi.

- Wszystko, co do tej pory zarobiłam, złożyłam w banku - wyjaśniła. - Zaczynała czuć lekki przyptyw nadziei. - Ale może pani Vincent zapłaci mi dzisiaj, kiedy się do niej zgłoszę - mówiąc to znowu wpadła w przygnębienie - chyba że obetnie mi wypłatę za zniszczenie kostiumu.

Matt przyjrzał się jej uważnie.

- Wystarczy go uprać. Nie jest przecież podarty, tylko zabłocony. Chodź, zawiozę cię do domu.

Kiedy wsiadali z powrotem do samochodu, Laurie zapytała:

- A Gramps nie będzie zły, że znowu bierzesz jego wóz? Matt uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Powiedziałem mu, że oddam go, kiedy skończę. To naprawdę miły człowiek, wiesz?

Nie wiedziała. Czy na pewno mówią o tej samej osobie? Grampsie Allertonie, którego małe dzieci boją się jak ognia? Ale kiedy się zastanowiła, to i Matt tego dnia wydawał się jakiś inny. Może myliła się także co do pana Allertona?

Patrząc od tej strony, wszystko zaczynało się jakoś układać, głównie dzięki Mattowi. Pomógł jej nawet wytłumaczyć się z

wypadku przed panią Vincent, która w ogóle nie przejęła się zniszczonym kostiumem. Natomiast bardzo się cieszyła, że jej pracownica jest cała i zdrowa. Kiedy Laurie przebrała się w swoje ubranie i zmyła makijaż, pani Vincent zapłaciła jej całą umówioną kwotę, mówiąc przy tym, że otrzymała telefon od pani Desmond, która bardzo chwaliła występ kłowna.

Szczęśliwa, że nie straciła pracy, Laurie poczuła jeszcze większą wdzięczność do Matta. Pojechali do sklepu rowerowego, gdzie całą wypłatę przeznaczyła na kupno używanej opony, a następnie do domu Matta. Tam chłopak w mgnieniu oka zmienił koło i wyprostował kierownicę. Kiedy na koniec zamontował znak Śpiewogramu na tylnym zderzaku i odsunął się, by obejrzeć efekt swojej pracy, Laurie o mało nie wybuchnęła płaczem, taka była szczęśliwa.

- Och Matt, nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła! - wykrzyknęła. - Jak mogę ci się odwdzieczyć?

Patrzył na nią intensywnie i długo, aż poczuła, że się rumieni.

- Zastanowię się - odparł miękko. - I wtedy dam ci znać. - Potem wsiadł do forda.

Laurie odprowadziła wzrokiem stary wóz i skierowała się w stronę swojego domu. Po drodze cały czas myślała o Matcie. Co miał na myśli, mówiąc, że da jej znać? Przez ułamek sekundy, kiedy stali naprzeciw siebie, myślała, że chce ją pocałować.

Ale to bzdura. Nikt nigdy nie widział Matta Hardinga z dziewczyną, chociaż na randkę z nim umówiłaby się każda z liceum Chilton. Nie pojawiał się na szkolnych potańcówkach, nie brał udziału w pozalekcyjnych zajęciach, nie należał do żadnego szkolnego klubu ani drużyny sportowej. Był zawsze sam i znikał zaraz po zakończeniu lekcji.

Tak, Matta Hardinga owiewała aura tajemnicy. Laurie bardzo była jej ciekawa.

## ROZDZIAŁ 5

Laurie szła przez zatłoczoną szkolną stołówkę, mocno trzymając tacę. Salę wypełniały hałaśliwe rozmowy i brzęk naczyń, ale prawie ich nie słyszała. Była zbyt przygnębiona.

Już piątek, powtarzała sobie w myśli, zdążając do stołu, przy którym zostały jeszcze dwa wolne miejsca, a ja miałam w tym tygodniu tylko trzy zlecenia.

Poprzedniego dnia wieczorem zadzwoniła do niej ciotka Melissa, pragnąc się dowiedzieć, czy ma już pieniądze na opłatę rejestracyjną. Laurie przyznała się, że brakuje jej jeszcze siedemdziesiąt pięć dolarów. Miała wrażenie, że się rozplacze, kiedy ciotka wspomniała o innej dziewczynce, która marzy o tym, żeby zająć jej miejsce.

Został tylko tydzień na zebranie pieniędzy, a to znaczy, że Laurie powinna wykonać przynajmniej cztery zlecenia.

Strapiona nie zwracała uwagi, dokąd idzie. W pewnej chwili zahaczyła stopą o nogę stołu i upadła na puste krzesło, w ostatnim momencie łapiąc kartonik z mlekiem i chroniąc go tym sposobem przed upadkiem na ziemię. Rozejrzała się, szukając Jane, która jeszcze minutę wcześniej była koło niej. Przyjaciółka posiadała talent znikania jak kamfora.

Czekając i pilnując jej miejsca, Laurie przemawiała do siebie uspokajająco. Wszystko będzie dobrze. Zdobędziesz te pieniądze na czas. Pani Vincent ma dla ciebie zlecenie na jutro, a to znaczy, że zostanie ci do zarobienia tylko pięćdziesiąt pięć dolarów.

Ale mimo to nie przestawała się martwić. Zamknęła oczy i opuściła ramiona. Może nie jest jej pisane pojechać na Akcję Pomocy? Może to było tylko bzdurne marzenie? Oczami wyobraźni widziała zachód słońca na St. David.

Wstrząsnęła się i otworzyła oczy. Nie przetrwa tego dnia, jeśli nie przestanie zadrećcać się brakiem pieniędzy. Ponownie się rozejrzała, szukając Jane, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Za to jej uwagę przykuła grupa osób przy następnym stoliku. Siedziała przy nim Elaine Desmond, otoczona, niczym królowa poddanymi,

grupką młodzieży. Zdaje się, że opowiadała jakąś historię i najwyraźniej wzbudzała nią w słuchaczach ogromne zainteresowanie. Od czasu do czasu ktoś z tego towarzystwa zerkał w stronę Laurie i uśmiechał się złośliwie.

Laurie poczuła ucisk w żołądku. Nikt nie musiał jej podpowiadać, że Elaine mówi na jej temat, prawdopodobnie ze szczegółami referując jej występ na urodzinach Bobby'ego.

Nagle pojawiła się Jane i z trzaskiem postawiła tacę na stoliku.

- Szkoda, że nie mam dwóch metrów wzrostu - wybuchnęła, opadając na krzesło. - Nikt nie zauważa takich liliputów jak ja. Wpychają się przed ciebie, jakbyś była niewidzialna. Można umrzeć z głodu.

Patrząc na jej załadowaną tacę, Laurie uśmiechnęła się.

- Wcale nie wygląda na to, żebyś zamierzała się zagłodzić.

- No nie - przyznała Jane, wsadzając widelec w ryż z jarzynami po chińsku. - Potrzebuję siły. Co za tydzień! Dzięki Bogu, że już piątek!

- Dlaczego? Co się działo w tym tygodniu? - zaciekawiała się Laurie, przynajmniej na chwilę zapominając o swoich zmartwieniach.

Jane westchnęła ciężko i przeciągle.

- Chodzi o musical. Po prostu nie widzę możliwości, żebyśmy zdążyli przygotować się do niego w ciągu trzech tygodni - wyjaśniła, a przy okazji dostrzegła Elaine, więc opuściła głowę i dodała szeptem: - Elaine zna wszystkie melodie, ale nie może zapamiętać tekstu. Reszta aktorów zna już prawie całe swoje role na pamięć, ale Elaine muszę ciągle podpowiadać. Nawet nie potrafi zapamiętać, w jakim miejscu ma stać albo kiedy gdzieś przejść. Wszyscy są na nią wściekli.

- Ale ty się tak tym nie przejmuj - poradziła Laurie, chcąc podtrzymać koleżankę na duchu. - W końcu i ona nauczy się tekstu. - Nie wspomniała, że Elaine ma zwyczaj zapominać całe fragmenty w najważniejszych momentach sztuki, o czym zresztą Jane zapewne sama wkrótce się przekona.



- Cóż, poczułabym się o wiele lepiej, gdyby udało się jej wypowiedzieć poprawnie choćby jeden wers - narzekła Jane. - Podobnie jak pani O'Connor, która niedługo wyląduje chyba w wariatkowie.

Laurie wgryzła się w swoją kanapkę i przy okazji ponownie zerknęła w stronę stolika, przy którym siedziała Elaine. Wyglądało na to, że robi wśród znajomych jakąś zbiórkę - każdy dawał jej monetę, a ona wpychała ją do portfela. Kiedy wstała i podniosła tacę, reszta zrobiła to samo. Potem ruchem ręki poprosiła o ciszę i wyszeptała do nich kilka słów. Cała grupa wybuchnęła śmiechem, obracając przy tym oczy na Laurie. Potem wyszli.

- Chciałabym wiedzieć, o co jej chodzi? - mruknęła Laurie z zagniewaną miną. - Zastanawiam się, dlaczego Elaine tak bardzo mnie nie lubi? Nic jej przecież nigdy nie zrobiłam.

- To dlatego, że wie, że twój jeden palec ma więcej aktorskiego wyrazu niż cała jej osoba - lojalnie rzekła Jane. - Poza tym uświadamia sobie doskonale, że gdybyś się zgłosiła na przesłuchanie, nie miałyby szans na zagranie w tej sztuce. Pewnie się też dowiedziała, że pan Clemens wybrał ciebie do odśpiewania solówki w wieczorze dla rodziców. Nie myśl o niej.

Laurie potrząsnęła głową.

- Chciałabym, ale nie potrafię. Jestem bardziej niż przekonana, że coś przeciwko mnie knuje, a i bez tego problemów mam dosyć.

- Nie ma zleceń? - współczująco zapytała Jane.

- Nic od wtorku. Mam coś na jutro, ale tak bym się cieszyła, gdybym dostała zlecenie dzisiaj.

- Mówiłam ci, że powinnaś przystąpić do przesłuchania do sztuki - mruknęła Jane z westchnieniem. - Teraz jest już za późno, a skoro nie zdążysz zebrać wystarczającej sumy na Akcję Pomocy... Laurie zakryła uszy rękami.

- Nie chcę tego słyszeć! Nie poddam się. Uda mi się i już!

- Dobrze, dobrze - pospiesznie zgodziła się przyjaciółka. - Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałam. - I zmieniając temat

rozmowy, zapytała: - Powiedz mi lepiej, jak tam się sprawy układają między tobą a Mattem Hardingiem?

Laurie skończyła kanapkę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Choć gdzieś na dnie umysłu cały czas Matt był obecny, to w rzeczywistości nie rozmawiała z nim przez cały tydzień. Za każdym razem, kiedy zbliżała się do swojej szafki, rozglądała się dokoła z nadzieją, że go zobaczy, ale na próżno.

- Nie ma żadnych spraw - odparła, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. - Nie spodziewam się z jego strony żadnego gestu. Wiesz, fakt, że był dla mnie miły w zeszłą sobotę, nie znaczy wcale, że chce się ze mną spotykać.

Jane obrzuciła ją sceptycznym spojrzeniem.

- A ty się tym wcale nie przejmujesz, tak?

- Nie, nie przejmuję się! - Wstała i chwyciła swoją tacę.

- Nie wściekaj się, Laurie - poprosiła Jane. Zawstydzona swoim zachowaniem wobec koleżanki, westchnęła.

- Przepraszam, nie chciałam być taka paskudna. Chyba mam dzisiaj po prostu gorszy zły dzień.

Jane uśmiechnęła się.

- W porządku. Rozumiem. Cóż, spotkamy się na matematyce. Kto wie, może pani Vincent jednak znajdzie dzisiaj dla ciebie zlecenie.

Popołudniowe zajęcia ciągnęły się Laurie w nieskończoność. Kiedy rozległ się dzwonek na koniec ostatniej lekcji, w rekordowym czasie dobiegła do telefonu wiszącego w korytarzu. Wepchnęła żeton i wykręciła numer pani Vincent, modląc się w duchu o zlecenie.

Pani Vincent odebrała zdyszczanym głosem.

- Och, Laurie, tak się cieszę, że dzwonisz. Właśnie przed chwilą miałam klienta, który złożył zamówienie. Już piszę słowa piosenki, ale nie mam czasu sama udać się na miejsce. Czy możesz zaraz do mnie przyjechać?

Nastrój Laurie podniósł się w jednej chwili jak jeden z wypełnionych helem balonów Bobby'ego Desmonda.

- Zaraz przyjeżdżam! - krzyknęła w słuchawkę. Odwiesiła ją

i pobiegła pędem do szafki, podśpiewując pod nosem. Jeśli dzisiaj zarobi dwadzieścia dolarów, a jutro następne dwadzieścia, razem będzie miała sto sześćdziesiąt pięć, wyliczała w myśli, sięgając po kurtkę i wpychając książki do plecaka. A to znaczy, że w przyszłym tygodniu musi zarobić tylko trzydzieści pięć dolarów!

Nie spotkała Matta przy szafce ani przy stojaku z rowerami, ale powiedziała sobie, że to bez znaczenia. Co z tego, że jest taki przystojny, a czasami nawet miły? Ona ma na głowie o wiele ważniejsze sprawy niż jakiś chłopak, który najwyraźniej zapomniał o jej istnieniu.

Pędząc rowerem do biura pani Vincent, śpiewała na całe gardło, ćwicząc piosenkę, którą miała zaśpiewać następnego dnia pewnemu policjantowi, gdyż został wybrany Policjantem Roku Chilton. Wystąpi przed nim ubrana jak więzień, a obecni będą burmistrz, szef policji i członkowie rady miejskiej.

Ciekawe, jaki kostium założę dzisiaj, zastanawiała się, skręcając na podjazd przed domem pani Vincent. Dobrze by było, żeby piosenka była krótka - nie mam zbyt wiele czasu na nauczenie się jej na pamięć.

- Wielkie nieba! Naprawdę szybko przyjechałaś - zdziwiła się pani Vincent, spoglądając na nią znad biurka, kiedy pojawiła się w drzwiach. - Przecież dopiero przed chwilą odłożyłam słuchawkę!

Laurie zaśmiała się.

- Tak się ucieszyłam, że ma pani dla mnie zlecenie, że właściwie przyfrunęłam tu jak na skrzydłach. Dokąd mam pójść i z jakiej okazji?

- Czy znasz pana Williama Allertona? - zapytała szefowa.

- Ma pani na myśli Grampsa Allertona - upewniła się ze zdumieniem Laurie.

- Tak, zdaje się, że tak go nazywają. Tak czy inaczej, była u mnie jego wnuczka. Dzisiaj pan Allerton obchodzi dziewięćdziesiąte urodziny i właśnie skończyłam pisać piosenkę na jego cześć. Przebierz się w kostium, a potem razem poćwiczymy.

- Dobrze. W co mam się ubrać? - zapytała trochę nerwowo. -

Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że pojedzie z życzeniami do największego ekscentryka w mieście, ale praca to praca.

- Cóż, wnuczka Allertona wybrała sobie hawajską tancerkę - poinformowała pani Vincent. - Wiem, że jest trochę za zimno na ten kostium, ale najwyraźniej staruszek chce sobie przypomnieć czasy, kiedy sam mieszkał na Hawajach.

Laurie w ostatniej chwili pohamowała jęk. Chociaż burza, która była w ostatnią sobotę, rozpuściła śnieg i w ogóle temperatura odczuwalnie się podniosła, to jednak Chilton w Massachusetts to nie Honolulu. Ale nie skarżyła się.

Pomyśl o dwudziestu dolarach, upomniała się w myślach, zakładając wieniec z kwiatów i spódniczkę z trawy. Akcja Pomocy jest coraz bliżej. Zastanawiała się, czy nie zdjąć skarpet i tenisówek, ale chociaż nie pasowały do kostiumu, zdawała sobie sprawę, że nie może jechać rowerem na bosaka.

Po wetknięciu za ucho wielkiego sztucznego pióra, wróciła do pani Vincent, która już siedziała przy pianinie. Wiersz napisany był do melodii starej hawajskiej pieśni ludowej *Aloha hej*. Laurie zapamiętała słowa w mgnieniu oka. Potem kilkakrotnie odśpiewała piosenkę, przy czym starała się wykonywać wdzięczne i płynne ruchy ramionami, naśladując hawajskie tancerki, ale z powodu napiętych nerwów jej kończyny poruszały się raczej jak struny ukelele.

Kiedy jakiś czas później podjeżdżała pod dom Grampsa Allertona, jej nerwy nadal były napięte. Pomimo tego, co usłyszała o staruszku od Matta, że jest taki miły, po głowie chodziły jej przede wszystkim stare historie, które dzieciaki opowiadały sobie ze zgrozą. A jeśli Matt się myli? Co będzie, jeśli Gramps przywita ją w drzwiach potrząsając laską i krzycząc? A może ma groźnego psa, który rozerwie ją na strzępy, nim zdoła zanucić pierwsze takty?

Dom odgradzały od ulicy wielkie dęby, więc Laurie widziała go dzisiaj po raz pierwszy. Wstrzymała oddech na jego widok. Zamiast starej rozpadającej się wiktoriańskiej rudery, zobaczyła szacowne domostwo w stylu kolonialnym.

Opierając rower na nóżce, zdała sobie sprawę, że szczeka zębami. Nie wiedziała, czy to ze zdenerwowania, czy z zimna, a może z obydwu przyczyn, ale jednak wspięła się po frontowych schodach i mimo przerażenia podniosła mosięzną kołatkę.

No co, na co czekasz? - zapytywała siebie w duchu. Pukaj, zanim zamarzniesz tu na śmierć!

Wyciągając gołe ramiona, podniosła ciężką kołatkę i zastukała dwukrotnie.

Cisza. Nic. Ze środka domu nie dochodził żaden dźwięk. Może Grampsa nie ma, pomyślała z nadzieją. Kusilo ją, żeby wrócić do roweru i odjechać, ale świadomość, że jeśli nie wykona zadania, to nie dostanie zapłaty, zmusiła ją do ponownego użycia kołatki.

Czekając, rozejrzała się dokoła niepewnie. Front i boki domu otaczały zadbane krzewy, a na tyłach dostrzegła coś, co wyglądało na zagrodę dla zwierząt z klatkami. Czy oczy ją zawiodą, czy rzeczywiście w jednej z nich siedzi skunks? A w następnej, co to za dziwne zwierzę?

Laurie tak była zafascynowana menażerią, że nie zauważyła, gdy ktoś otworzył drzwi i dopiero kiedy usłyszała głos, zorientowała się, że nie jest już sama.

- Laurie, co ty tu, na Boga, robisz?

Zdumiona, okręciła się i zobaczyła Matta. Nie wyglądał na zachwyconego jej widokiem. Unosząc dumnie podbródek, powiedziała wyniośle:

- Przyjechałam z życzeniami dla pana Allertona. Czy jest w domu?

Matt zmarszczył brwi.

- Tak jest. - Wahał się przez chwilę, a potem dodał bez większego entuzjazmu: - Chyba lepiej już wejdz.

Poszła za nim przez korytarz do wielkiego salonu. Nie mogła się opanować, żeby się nie rozejrzeć. Chociaż nie знаła się na antykach, domyślała się, że otaczające ją stare meble są niemałej wartości.

I wtedy zobaczyła Grampsa Allertona. Siedział przy

szachownicy leżącej na małym stoliku naprzeciwko kominka, a jego ogniste szare oczy pod krzaczastymi brwiami wpatrywały się w nią intensywnie, notując każdy szczegół jej kostiumu, od pióra we włosach do trampek.

- O co chodzi, młoda damo? - zapytał w końcu. Laurie ciężko przełknęła ślinę, starając się wypchnąć serce z przełyku i nawet udało jej się przywołać na usta lekki uśmiech.

- Przybyłam z życzeniami dla pana - wycharczała. Staruszek popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Z czym?

- Z wiadomością, ze śpiewanymi życzeniami - wyjaśniła. Natychmiast też zaczęła wykonywać piosenkę i taniec, obawiając się, że zabraknie jej ostatecznie odwagi i nerwów.

*Aloha hej, to twój wielki dzień,*

*Mele kahana hale w dniu urodzin!*

*W dniu dziewięćdziesiątych urodzin, pan...*

Przerwała nagle, widząc, że Gramps wyskakuje z fotela, rycząc jak zraniony słoń.

- Dziewięćdziesiątych?! - wrzeszczał. - Nie mam dziewięćdziesięciu lat! Nie mam też dzisiaj urodzin! To jakiś żart? - Pochwycił laskę i zaczął nią wymachiwać. - Czy nikt cię nie nauczył szacunku dla starszych?

Laurie patrzyła na niego z przerażeniem. Nie ma urodzin? Dlaczego więc wnuczka zamówiła dla niego życzenia?

- Przepraszam, panie Allerton - wyszeptała. - Myślałam... to znaczy, powiedziano mi... - Dławiąc się łzami poniżenia, odwróciła się i wybiegła z pokoju. Za nią biegł Matt.

- Laurie, poczekaj! - krzyknął.

Ale nie umiała teraz spojrzeć mu w twarz. Już wsiadała na rower, kiedy jego silna dłoń opadła na kierownicę. Nie mogąc się ruszyć, wbiła wzrok w ziemię. Dlaczego nie pozwoli jej odjechać do domu, gdzie mogłaby ukryć się na zawsze?

- Laurie, popatrz na mnie - zażądał. Podniosła powoli głowę i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego zrobiłaś Grampсовi taki głupi dowcip? - zapytał z

gniewem. - Nie sądziłem, że jesteś taka. Czy on ci zrobił kiedyś coś złego?

Jego słowa zaboląły jak policzek, a przygnębienie zamieniło się we wściekłość.

- To nie był dowcip! - warknęła. - Wykonywałam swoją pracę. Dzisiaj po południu wnuczka pana Allertona zamówiła dla niego życzenia, a pani Vincent wysłała mnie z nimi!

- Gramps nie ma wnuczki - odwarknął Matt.

- Nie ma wnuczki? - powtórzyła Laurie z niedowierzaniem. - W takim razie, kto...?

Nagle wszystko już wiedziała. To musiała być Elaine Desmond. Stąd to jej chichotanie i szeptanie w stołówce, i to dlatego Elaine zbierała od kolegów pieniądze! Musiała wcześniej zwolnić się ze szkoły, żeby dotrzeć do biura pani Vincent i zamówić u niej życzenia.

Laurie już zamierzała powiedzieć Mattowi, że wszystkiemu jest winna Elaine, ale jego pogardliwa mina odebrała jej odwagę. Nawet gdyby umiała teraz znaleźć odpowiednie słowa, to czy zmieniłoby to cokolwiek? Skoro Matt uwierzył, że jest w stanie zażartować sobie w tak okrutny sposób ze starego człowieka, nic, co by mu teraz powiedziała, zapewne by go nie przekonało.

Wściekła i głęboko zraniona, wyrwała mu rower z rąk, wskoczyła na siodło i odjechała najszybciej, jak mogła.

## ROZDZIAŁ 6

Dwa dni później, kiedy Laurie przemierzała korytarz szkolny, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że oprócz odgłosu własnych kroków słyszy kroki kogoś jeszcze. Obejrzała się, sprawdzając, czy ktoś za nią idzie. Pusta szkoła w niedzielne popołudnie wydawała się upiorniejsza niż nawiedzony dom na Halloween.

Oczywiście szkoła nie była dokumentnie opuszczona, w audytorium pan Clemens przeprowadzał próbę chóru przed wieczorem dla rodziców. Ale z pewnością tylko Laurie znajdowała się w tej chwili na korytarzu. Chyba że ktoś stroi sobie z niej żarty. Może Matt?

Raczej nie, pomyślała, potrząsając głową. Widziała go kilka minut wcześniej, w drodze do szkoły. Przejechała obok niego rowerem. Machał do niej z zapalem, ale go zignorowała. Cokolwiek miał jej do powiedzenia, nie chciała tego słuchać. Wiedziała, co o niej myśli, a jego gniewne słowa nadal brzmiały jej w uszach.

Starając się jak najszybciej zapomnieć o Matcie, weszła do audytorium i przeszła do sceny. Przy pianinie siedział pan Clemens. Otaczało go kilkoro uczniów.

- Cieszę się, że udało ci się przyjść, Laurie. - Nauczyciel objął ją roziskrzonym spojrzeniem oczu ukrytych za okularami w stylu okularków Franklina. Przykro mi, że wyciągam cię w niedzielne popołudnie, ale to jedyna szansa, żebyś przed jutrzejszym wieczorem przećwiczyła swoją solówkę.

- Nic nie szkodzi, panie Clemens - odparła. - I tak miałam do zrobienia tylko lekcje.

- Włączyłem mikrofon - poinformował. - Może wejdiesz na scenę i go wypróbujesz, to sprawdzimy poziom dźwięku.

Wspinając się na scenę, Laurie starała się nie myśleć o tym, że tuż za zasuniętą kurtyną znajdują się dekoracje do *My Fair Lady*. Postukała w mikrofon, potem policzyła do dziesięciu, gdy w tym czasie pan Clemens poprawiał na kontrolce nagłośnienie. W końcu zadowolony z rezultatu wrócił do pianina, położył przed



sobą nuty i zaczął grać wstęp.

Laurie uśmiechnęła się do niego i do członków chóru siedzących w pierwszym rzędzie. Bardzo lubiła piosenkę, którą miała zaraz zaśpiewać - była wesoła, a Laurie dzisiaj naprawdę potrzebowała pokrzepienia.

Spoglądając na dalsze rzędy wyobraziła sobie publiczność, która następnego wieczoru będzie się do niej uśmiechała. Nagle szeroko otworzyła oczy. W ostatnim rzędzie dostrzegła Matta Hardinga.

Co on tutaj robi? - zastanawiała się nerwowo. Kiedy wszedł? Czy to on szedł za nią korytarzem?

Nabrała powietrza, żeby się uspokoić, i dumnie uniosła podbródek. Nieważne, co Matt sobie o niej myśli. Nie będzie spuszczała głowy, jakby była winna, skoro nie jest.

Wstępne dźwięki umilkły i Laurie zaczęła śpiewać, wkładając w to całe serce.

- *Coś dobrego ci się zdarzy, zdarzy ci się właśnie dziś...* Śpiewając, nie umiała się powstrzymać, by nie patrzeć w stronę Matta. Widziała, że słucha bardzo uważnie, ale nie umiała odczytać wyrazu jego twarzy.

Kiedy przebrzmiały ostatnie słowa, chór zaczął ją gromko oklaskiwać, a pan Clemens powiedział:

- Laurie, to było wspaniałe! Omal się nie rozplakałem.

- Dziękuję, ale czy nie sądzi pan, że powinniśmy jeszcze raz spróbować? - zapytała. Chciała odwlec moment, kiedy będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Mattem, który nie miał zamiaru ruszyć się ze swojego miejsca.

- Och, nie - odpowiedział nauczyciel - nie potrzeba tego robić. Zaśpiewałaś bezbłędnie. Nic nie zmieniaj. Bądź tu tylko jutro o dziewiętnastej.

Laurie bardzo opieszale schodziła ze sceny. Zatrzymała się przy koleżance i zamieniła z nią kilka słów, ale potem już musiała skierować się w stronę wyjścia. Matt zniknął, jednak była więcej niż pewna, że czeka na nią na korytarzu za drzwiami.

Miała rację. Stał obok wejścia, oparty o ścianę. Kiedy

wyszła, ruszył w jej kierunku. Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Nastąpiła długa chwila nieprzyjemnej ciszy. Przerwał ją Matt; jego głos brzmiał ochryple.

- Chcę cię przeprosić za to, co ci powiedziałem tamtego dnia, Laurie. Bardzo lubię Grampsa, a ta cała sytuacja strasznie go przygnębiła i mnie także. Wiem, że umyślnie nikogo byś nie skrzywdziła, - Na jego ustach na sekundę zagościł cień uśmiechu.  
- Przypadkowo, możliwe, ale nie umyślnie. Czy możesz mi wybaczyć? Odetchnęła z ulgą, przeciągle.

- Dzięki, że to powiedziałeś, Matt - rzekła miękko. - Oczywiście, że mogę ci wybaczyć. - Wyciągnęła do niego dłoń i dodała: - Zgoda?

Uśmiechnął się szeroko.

- Zgoda.

- Czy Gramps dobrze się czuje? - zapytała z niepokojem. - Bardzo się wtedy o niego martwiłam. Przestraszyłam się, że dostanie zawału albo coś podobnego.

- Och, szybko doszedł do siebie. Potem namówiłem go, żeby zadzwonił do pani Vincent, a ona opowiedziała mu to samo co ty, że jakaś dziewczyna, która twierdziła, że jest jego wnuczką, złożyła u niej zamówienie na życzenia - wyjaśnił. - Wiesz może, kto to mógł być?

Czy wiem, pomyślała ponuro. Uznała jednak, że wydanie Elaine niczego już teraz nie zmieni, więc powiedziała tylko:

- Chyba tak, ale wolałabym nie mówić. Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Tak czy inaczej Gramps, kiedy się już uspokoił, uznał tę całą historię nawet za zabawną. Chce się z tobą zobaczyć, Laurie, żeby cię przeprosić za to, jak się zachował.

Uświadamiając sobie, że nadal trzymają się za ręce, Laurie poczerwieniała. Zabrała dłoń i nerwowo poprawiła włosy.

- No nie wiem - odrzekła. - Musiałam zebrać całą odwagę, żeby zapukać wtedy do jego drzwi. Nie wiem, czy w najbliższej przyszłości będę w stanie zdobyć się na to powtórnie. Może za jakiś czas, za tydzień albo...

- Chce się z tobą widzieć już teraz, Laurie. Dzisiaj - nalegał. -

To ci zajmie tylko kilka minut, dobrze? - Uśmiechnął się. - Będę ci towarzyszył i przyrzekam, że nie pozwolę, żeby na ciebie krzyczał albo wymachiwał przed tobą swoją laską.

- No... dobrze. - Uśmiechnęła się słabo. - Ale nie mogę zostać długo. Mamy dzisiaj gości na obiedzie. - Na całe szczęście mówiła prawdę, więc będzie miała wymówkę, w razie gdyby Allerton jednak znowu się zdenerwował.

- Naturalnie. Odwiozę cię potem. Jestem samochodem Grampsa - rzucił Matt, kiedy ruszyli do bocznych drzwi prowadzących na parking.

- A co z moim rowerem? - zmartwiła się.

- Zostaw go tutaj. Po wizycie przywiozę cię pod szkołę.

- Znajdujesz rozwiązanie na wszystko, co? - zażartowała. Matt otworzył przed nią drzwi starego samochodu.

- Nie na wszystko - odpowiedział z powagą, wślizgując się za kierownicę. - Tylko na niektóre rzeczy. - Zapalając silnik, spojrzał na nią. - Wiesz, ta piosenka, którą śpiewałaś, była bardzo ładna. Masz fantastyczny głos.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. - Poczwała, że robi się jej ciepło w środku. Od kiedy pamiętała, ludzie zawsze chwalili jej głos, ale jakoś bardziej się ucieszyła, słysząc pochwałę z ust Matta.

Patrzyła na niego kątem oka, kiedy wyjeżdżali na ulicę. Odwrócił się do niej i uśmiechnął, ale był to uśmiech trochę smutny.

- Czy coś się stało, Matt? Wyglądasz na zmartwionego.

Przestał się uśmiechać.

- Bo jestem. Martwię się o Grampsa. Coś mi się wydaje, że nie czuje się najlepiej.

- Czy pan Allerton jest twoim dziadkiem? Kręcąc przecząco głową, odpowiedział:

- Nie, nie jesteśmy spokrewnieni. Ale to mój największy przyjaciel.

Laurie bardzo się zdziwiła, słysząc to wyznanie, a jeszcze bardziej zdumiała się po następnym zdaniu. Matt prowadził i nie

mógł na nią patrzeć, tak więc nie widział jej zaskoczonej miny. Skąd więc wiedział, co czuła.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedział. - Dlaczego nie mam przyjaciół w swoim wieku, tylko zadaję się ze staruszką?

- Tak, szczerze mówiąc, to właśnie sobie pomyślałam - przyznała się. - Ale to przecież nie moja sprawa.

- Właśnie że chciałbym, żeby to była twoja sprawa, Laurie. Jeśli mamy się zaprzyjaźnić, tak jak ustaliliśmy wcześniej, musisz wiedzieć o mnie kilka rzeczy.

Zamilkł, tylko policzek lekko mu zadrgał, jakby ciężko mu było kontynuować.

- Moja rodzina przeżywa ostatnio naprawdę trudny okres. W zeszłym roku mój tata miał bardzo poważny wypadek samochodowy. Możliwe, że już nigdy nie będzie mógł pracować. Jego renta wystarcza na przeżycie rodziny, ale to wszystko. Mama nie może iść do pracy, bo ktoś musi być z tatą przez cały czas. Na ubrania i inne rzeczy muszę zarobić ja. Więc pracuję w sklepie, a poza tym strzygę ludziom trawniki albo odśnieżam - robię wszystko, co daje pieniądze.

- Och, Matt, nie miałam pojęcia! - zawołała z przejęciem. - Ale przecież nikt w szkole nie patrzy na to, czy masz pieniądze, czy ich nie masz. Chcą się z tobą po prostu zaprzyjaźnić.

Popatrzył na nią jakoś dziwnie.

- Laurie, zupełnie nie wiesz, co to znaczy koleżeństwo, kiedy się nie ma na nic pieniędzy. Słyszę tylko: chodźmy na pizzę albo chodźmy do kina. Ale ja wiem, że jeśli pójdę na tę pizzę, to mój młodszy brat nie będzie miał zeszytów. A jeśli zaproszę jakąś dziewczynę do kina, to może nam nie starczyć pieniędzy na zapłacenie za gaz.

Laurie nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad takimi rzeczami. Ale teraz, kiedy słuchała Matta, stwierdziła w duchu, że sama nie wiedziała, jak jest jej w życiu dobrze. Chociaż jej rodzice czasami narzekali na opłaty związane ze studiami brata, to jednak nigdy nie musieli liczyć każdego grosza. Jej własne perypetie związane z zebraniem funduszy na Akcję Pomocy na tle

walki Matta o utrzymanie rodziny wydawały się dziecinnie proste.

- Wszyscy są ogromnie mili - ciągnął. - Kiedy mówię, że nie mam forsy, każdy chce mi postawić kino albo coś innego, ale przecież nie mogę się zgodzić, skoro wiem, że nie będę w stanie się zrewanżować. Lepiej już dać sobie spokój z przyjaźnią i skoncentrować się na pracy.

Laurie doznała nagłego olśnienia.

- A co z Centrum Młodzieżowym? - zasugerowała. - To nic nie kosztuje.

Roześmiał się, ale wcale niewesoło.

- Pomyśl, Laurie. Wprawdzie wpisowe rzeczywiście nic nie kosztuje, ale co tydzień organizowane są jakieś zajęcia i one są płatne. Oczywiście są też i darmowe imprezy, ale każdy coś na nie ze sobą przynosi, napoje albo jedzenie.

Pójście do kręgielni także kosztuje, pięć dolarów od osoby. Nie mówiąc już o zbiórkach na prezent dla któregoś z członków.

Słuchając jego wywodu, musiała mu przyznać rację. Zastanawiała się też, ilu jeszcze młodych ludzi nie uczestniczy w zajęciach w Centrum Młodzieżowym z tych samych powodów?

- Masz rację! - wykrzyknęła. - Jestem w zarządzie i na następnym zebraniu będę nalegała, żebyśmy zaczęli planować takie zajęcia, które nie będą nikogo kosztowały ani jednego centa!

- Nie wprowadzaj zmian ze względu na mnie - sucho rzucił Matt.

Domyślając się, że zraniła jego dumę, uznała, że najwyższy czas zmienić temat.

- Nie opowiedziałeś mi o Grampsie - przypomniała. - Jak się zaprzyjaźniliście?

Matt nieco się rozluźnił.

- Poznałem go w zeszłym roku. Wynajął mnie do koszenia trawnika i sprzątania podwórka. Wtedy też odkryłem, że na tyłach domu ma coś na kształt schroniska dla okaleczonych zwierząt. Opiekuje się nimi, leczy, a potem wypuszcza na wolność. - Uśmiechnął się i dodał: - Oczywiście nie odchodzą zbyt daleko. Wałęsają się w pobliżu, licząc na kąski. To dlatego Gramps

odpędza dzieciaki od swojej posesji. Boi się, że będą chciały zbliżyć się do zwierząt i zostaną pogryzione czy coś w tym rodzaju.

- Naprawdę? - Laurie była zdumiona. - A ja przez cały ten czas myślałam, że to przez jego zgryźliwość.

- Zgryźliwość? - Matt wybuchnął śmiechem. - Gramps ma gołębie serce! Kiedy mu powiedziałem, że marzę, żeby zostać weterynarzem, pozwolił mi zarządzać swoim zoo. Nastawiałem skrzydło mewie i opatrywałem dachowca, który po którejś z kolejnych walk niestety znalazł się w gronie przegranych. Teraz opiekuję się skunksem ze zranioną łapą i szopem ze złamaną. Zaadoptowaliśmy też osierocone króliczątka.

- Niesamowite! - zawołała.

Wjeżdżali właśnie na podjazd przed domem Grampsa, ale Laurie nie czuła już strachu, tylko zaciekawienie.

- Tak czy inaczej - ciągnął Matt - Gramps to naprawdę wyjątkowy gość. Kiedyś był profesorem i chyba dzięki doświadczeniu udaje mu się podstępem zawsze czegoś nowego mnie nauczyć. Jest mistrzem szachowym i ma wspaniałą kolekcję znaczków. Nauczył mnie grać w szachy i nieraz prowadzimy ze sobą prawdziwe wojny, a ostatnio zaczął dawać mi lekcje na temat kolekcjonowania znaczków.

- Rozumiem już, dlaczego jest twoim najlepszym przyjacielem - stwierdziła.

Chciała jeszcze zapytać, dlaczego Matt uważa, że coś złego dzieje się z Grampsem, ale akurat zatrzymali się przed domem.

- Zaprowadzę cię do naszej menażerii przed odjazdem - przyrzekł, kiedy wysiadali. - Ale najpierw spotkamy się z Grampsem.

Szła za nim po schodach. Otworzył drzwi, nie pukając.

- Jesteśmy, Gramps! - zawołał. - Przywiozłem ci twoją hawajską tancerkę!

Czerwieniąc się po korzonki włosów, Laurie trochę się spłoszyła. Weszli do salonu. Na ich widok Gramps wstał, podpierając się laską. Biała broda nie była w stanie ukryć jego

szerokiego uśmiechu.

- *Aloha*, młoda damo - przywitał się. Laurie zagryzła wargi.

- Och, panie Allerton, mam nadzieję, że mi pan wybaczy tę pomyłkę z urodzinami!

Staruszek machnął ręką, wskazując krzesło.

- To nie była pomyłka. Ktoś rozmyślnie cię w to wrobił. Domyślasz się może kto i z jakiego powodu?

- Tak, domyślam się - odparła. - Tak mi przykro, że akurat pan padł ofiarą tego żartu.

- A mnie przykro, że pozwoliłem wtedy, by poniosły mnie nerwy - odrzekł i zachichotał. - Przynajmniej ten ktoś musiał za żart coś zapłacić.

Laurie też się uśmiechnęła.

- Dobrze, że pani Vincent zażądała zapłaty z góry! Odwracając się do Matta, Gramps niespodziewanie powiedział:

- Księga Sędziów, rozdział czwarty, werset dziewiętnasty. Laurie popatrzyła na niego w zdumieniu. O czym on mówi? To nie ma sensu. Wiedziała, że Księga Sędziów to jedna z ksiąg Biblii, ale co to ma wspólnego z nimi? Może staruszek traci zmysły i właśnie tym Matt się martwi?

Jeszcze bardziej się zdziwiła, kiedy usłyszała, jak w odpowiedzi Matt zacytował: „Daj mi - proszę cię - napić się trochę wody, gdyż mam pragnienie”.

- Bardzo dobrze, Matthew. - Gramps popatrzył na podopiecznego z zadowoleniem. - Ale zamiast wody proponuję lemoniadę. Cały dzbanek stoi w lodówce.

Kiedy Matt opuścił pokój, Laurie zrozumiała, że starszy pan jest całkowicie normalny, a tych dwóch z jakichś powodów używa sekretnego kodu opartego na cytatach z Biblii. Bardzo chciała się dowiedzieć, do czego im to potrzebne, ale nim zdążyła otworzyć usta, Gramps pierwszy zadał jej pytanie.

- Jak sądzisz, dlaczego ta osoba chciała cię ośmieszyć?

- Nie jestem pewna - odrzekła z wahaniem. - Z jakiejś przyczyny uprzedziła się do mnie. Moja przyjaciółka, Jane, twierdzi, że to z zazdrości.

- *Pieśń nad Pieśniami* Salomona, rozdział ósmy, werset szósty - powiedział z przekonaniem Gramps. A widząc zdziwione spojrzenie Laurie, wyrecytował: - „A zazdrość jej nieprzejeđnana jak Szeol”.

Wrócił Matt niosąc lemoniadę i talerz z ciasteczkami. Stawiając je na stoliku, powiedział:

- Izajasz, rozdział dwudziesty drugi, wiersz trzynasty.

- „Jedźmy i pijmy...” - zacytował Gramps. Laurie nie umiała już dłużej pohamować ciekawości.

- Czy wy obaj znacie Biblię na pamięć? Uśmiechając się do niej, Matt wyjaśnił:

- Gramps chyba tak, a ja nauczyłem się kilku wersetów, żeby móc mu odpowiadać. To taka nasza zabawa, trochę jak gra - Gramps mówi, że doskonale ćwiczy pamięć.

- Wspaniale - potwierdził staruszek. - Ale skończmy ten temat. Chciałbym usłyszeć co nieco o twoich planach związanych z letnią pracą, Laurie. Matt mówił mi, że chcesz pomagać w odbudowie szkoły gdzieś na Karaibach.

Laurie więcej niż szczęśliwa, że może porozmawiać na swój ulubiony temat, zabrała się ochoczo do wyjaśnień.

- Brakuje mi już tylko trzydzieści pięć dolarów na opłatę rejestracyjną - kończyła z zapartym tchem.

Gramps oparł się o fotel i popatrzył na nią z aprobatą.

- Ta Akcja Pomocy wygląda na bardzo przyzwoite przedsięwzięcie. Powinnaś być z siebie dumna. - Śmiejąc się pod nosem, zwrócił się do Matta: - Co myślisz, Matthew? Czy ta młoda dama może się stać prawdziwą hawajską misjonarką?

Matt także zaczął się śmiać, natomiast Laurie nie rozumiejąc, co ich tak rozbawiło, patrzyła to na jednego, to na drugiego. Czy nawiązywali do kostiumu tancerki, a może grają w jakąś inną grę?

Widząc jej zmieszanie, Matt pospieszył z wyjaśnieniami:

- To żart kolekcjonera znaczków, Laurie. Hawajskie Misjonarki to jedne z najdroższych znaczków na świecie.

- Nie wiedziałam, że misjonarki miały swoje znaczki - odparła nadal zdumiona.



- Nie miały - wyjaśniał dalej. - Ale kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym Hawaje wydały pierwsze znaczki, to właśnie misjonarki pisały najwięcej listów i zużywały większość znaczków.

- No tak, gdyby pisane mi było zostać misjonarką, mam nadzieję, że byłabym w tym dobra - rzekła z uśmiechem. - Obawiam się jednak, że nie sprawdziłabym się w roli Hawajki.

- Wręcz przeciwnie. - Oczy Grampsa lśniły wesoło. - Wpadłem nawet na pomysł, żebyś zaśpiewała dla mnie w moje osiemdziesiąte czwarte urodziny.

- Z wielką przyjemnością - zgodziła się i naprawdę tak myślała.

- No, czas na moją drzemkę - stwierdził Gramps, zbierając się do wstania. Matt natychmiast się poderwał, podał mu łaskę i pomógł mu się podnieść. - Dziękuję, że mnie odwiedziłaś, Laurie. Zapraszam jak najszybciej ponownie. Nie czekaj do października - dodał.

Laurie dostrzegła na twarzy Matta, który wyprowadzał staruszkę z pokoju, wyraz z troską.

- Nigdy się tak szybko nie męczył - wyjaśnił po powrocie. - Teraz już po kilku krokach brakuje mu tchu. Ciekaw jestem, co mu jest.

- Czy był u lekarza? Potrząsnął przecząco głową.

- Nie chciał nawet o tym słyszeć, kiedy go namawiałem na wizytę. Ale jutro przyjeżdża jego córka z Bostonu. Ona go zmusi do pójścia do lekarza, czy będzie chciał, czy nie. Rządzi Grampsem tak, jakby była jego matką, a nie córką. - Ton głosu Matta zdradzał, że nie przepada za tą kobietą.

- No cóż, zdaje się, że to dobrze, jeśli tylko tym sposobem zaciągnie go do lekarza - z wahaniem rzekła Laurie.

- Zdaje się. - Matt sięgnął po jej rękę. - Chodź, czas na odwiedzin w zoo Allertona.

Idąc za nim, czuła mrowienie w dłoni, za którą ją trzymał. Nagle uzmysłowiła sobie, że choć wcześniej Matt pociągał ją swoją urodą, to teraz, kiedy go bliżej poznała, przystojna twarz

przestała być najważniejsza. Podobała jej się jego duma, twardość, odpowiedzialność i lojalność. Zdaje się, że się w nim zakochała, pomyślała.

Wyszli na zewnątrz. Za małym, otoczonym murkiem ogrodem stały klatki. Laurie dostrzegła je tutaj w czasie swojej pierwszej wizyty. Króliki mieszkały obok wielkiego wyleniałego kociska. Kot, jak pirat, jedno oko miał zasłonięte opatrunkiem. W innej klatce szop próbował wygrzebać się ze swojej miski, a w jeszcze innej siedział skunks. Wszystkie te zwierzęta zdawały się bardzo zadowolone na widok Matta, który przemawiał do nich ciepło.

- Naprawdę powinieneś zostać weterynarzem - rzuciła. -  
Masz dobre podejście do zwierząt.

Przez twarz chłopaka przebiegł skurcz bólu.

- Staram się o tym nie myśleć, ponieważ to marzenie jest nierealne. Wprawdzie Gramps zaoferował się, że zapłaci za moje studia weterynaryjne, ale nie mogłem przyjąć jego pomocy. Moja rodzina po prostu nie dałaby sobie rady beze mnie.

Czasami życie nie jest sprawiedliwe, ze smutkiem pomyślała Laurie.

Ale Matt nie należał do osób, które długo rozwodzą się nad swoim nieszczęściem, i już po chwili razem zaśmiewali się wspólnie z harców szopa.

Kiedy wracali po rower, serce dziewczyny śpiewało. Czy wcześniej tego dnia przyszłoby jej do głowy, że ona i Matt zostaną przyjaciółmi? A może kiedyś połączy ich coś więcej...

## ROZDZIAŁ 7

Do zobaczenia, Laurie! Odwiedź nas znowu jak najszybciej!  
- Wspaniale się bawiłyśmy! Dziękujemy!

Uśmiechnięte starsze panie zbiły się w grupkę na schodach przed domem starców, machając Laurie na pożegnanie. Bardzo im się spodobał jej kostium w stylu *Ani z Zielonego Wzgórza* składający się z długiej niebieskiej spódnicy i obszywanych koronkami pantalonów. Na głowie miała perukę z grubymi warkoczami z pomarańczowej włóczki i biały koronkowy kapelusik. Ale najbardziej przypadły im do gustu piosenki. Laurie zazwyczaj odśpiewywała życzenia i wychodziła, jednak mieszkańcy domu starców byli tak zachwyceni jej występem, że musiała zostać i zaśpiewać całą serię starych przebojów.

Podnosząc nóżkę od roweru, spojrzała na zegarek. Pani Vincent pomyśli, że ona także postanowiła przejść na emeryturę i zamieszkać w domu starców. Podciągnęła do góry pantalon, pokazując przy tym rajstopy w czerwono - białe pasy i wsiadła na rower.

Pedałując ulicą, miała wrażenie, że koła nie dotykają ziemi. Jak do tej pory przez cały tydzień rzeczy układały się po jej myśli. Jej solo na wieczorze dla rodziców odniosło sukces, teraz miała dostać zapłatę za wizytę w domu starców, a na jutro czekało już na nią następne zlecenie. Jeśli nie wydarzy się nic złego, prześle pieniądze na rejestrację trzy dni przed terminem. Tom już nie będzie śmiał nazywać jej bezmózgowcem!

Ale najbardziej cieszyła Laurie rosnąca zażyłość z Mattem. Nie mogła się doczekać, kiedy mu przekaze ostatnie dobre nowiny. Jego ciepły uśmiech naprawdę rozświetlił jej życie. Teraz pozostało tylko przekonać go, że może umawiać się z dziewczyną i dokądś ją zabrać, i nie musi to nie kosztować. Matt nie umawia się na randki, ponieważ sądzi, że każda dziewczyna oczekuje, że zostanie zabrana do kina albo restauracji, ale Laurie postanowiła wybić mu to z głowy. Już zaczęła sporządzać listę rzeczy, które mogą robić bez wydawania nawet centa.

Kiedy się zatrzymała na czerwonym świetle, poczuła, że pantalony zaczynają zjeżdżać w dół. Jeśli ich nie podciągnie, z pewnością wkręcą się w łańcuch i nie uda jej się dotrzeć na czas do biura pani Vincent. Zsiadła więc z roweru, wprowadziła go na chodnik, oparła o skrzynkę na listy i pochyliła się, żeby podwinąć spodnie.

Przechodniów zdawał się bardzo cieszyć widok dziewczynki w stroju z poprzedniego stulecia poprawiającej ubranie w centrum miasta. Laurie jednak przyzwyczała się już, że zwraca uwagę swoimi kostiumami, więc zupełnie się tyra nie przejmowała - tylko że tym razem z drogerii naprzeciwko wyszła Elaine Desmond i szła wprost na nią. Elaine jak zawsze wyglądała tak, jakby właśnie wycięto ją z okładki magazynu mody. Miała na sobie luźny kremowy sweter, kawowe obcisłe spodnie i brązowe botki z zamszu. Obrzuciła kostium Laurie takim wzrokiem, jakby patrzyła na ubrania ze sklepu z używaną odzieżą.

- Cóż za wspaniały strój, Laurie - sarknęła. - Bardzo do ciebie pasuje.

To spotkanie było ich pierwszym od epizodu, który wydarzył się w poprzedni piątek. Domyślając się, że Elaine musi umierać z ciekawości, jak jej się udał żart, Laurie uznała, że najlepszą zemstą będzie niemówienie jej na ten temat ani słowa. Tak więc uśmiechnęła się i odpowiedziała radośnie:

- Dzięki, Elaine. To mój ulubiony.

Dziewczyna najwyraźniej nie takiej reakcji się spodziewała. Zmarszczyła brwi, a potem zmieniła temat.

- Słyszałam, że w niedzielę byłeś na randce z Mattem Hardingiem - rzuciła, mrużąc oczy. - Nie wiedziałam, że ze sobą chodzicie.

Laurie wybuchnęła śmiechem.

- Ja też o tym nie wiedziałam!

- To znaczy, że nie byłeś z nim nigdzie w niedzielę?

- Och, tego nie powiedziałam - odparła lekko.

Z każdą chwilą Elaine robiła się coraz bardziej zmieszana - i poirytowana. Zamiast owijać w bawełnę, zaczęła pytać bardziej

otwarcie.

- A więc, Laurie, jak ci idzie praca? Ktoś mi mówił, że w zeszłym tygodniu odwiedziłaś ze śpiewanymi życzeniami Grampsa Allertona. To musiała być naprawdę interesująca wizyta - zakończyła z zadowoloną miną.

- I tak było. - Laurie szeroko się uśmiechnęła. - Te życzenia wyszły mi najlepiej ze wszystkich do tej pory. Gramps okazał się wspaniałym człowiekiem! Powiedział, żebym go odwiedzała, kiedy tylko będę miała na to ochotę.

Elaine szeroko otworzyła usta. Stała wpatrzona w Laurie, choć raz w życiu nie wiedząc, co ma powiedzieć, a wyraz jej twarzy wystarczył za całą zemstę.

Jednak bardzo szybko doszła do siebie i kiedy Laurie wyprowadziła rower na ulicę, zawołała za nią:

- To wspaniale, że tak ci się podoba ta praca! Dzięki temu jest ci pewnie mniej przykro, że nie bierzesz udziału w sztuce.

Radosny wyraz na twarzy Laurie nie zmienił się nawet na sekundę, choć uwaga Elaine zabolęła. Odjechała, zostawiając ją samą. Jak ktoś tak ładny może być tak złośliwy, zastanawiała się.

Jednak tego dnia nawet niemiłe uszczypliwości Elaine nie mogły na dłużej zepsuć jej humoru.

Po odebraniu od pani Vincent zapłaty i przebraniu się pospieszyła do domu. Miała dużo zadanych lekcji do odrobienia, ale najpierw chciała skreślić tryumfalny liścik do ciotki Missy, w którym prosiła, żeby ciotka za nic nie odstępowwała jej miejsca. Laurie wiedziała, że ciocia ucieszy się z wiadomości tak samo jak ona.

Kiedy znalazła się w swojej sypialni, rzuciła plecak na łóżko, a potem przejrzała płyty CD, szukając muzyki pasującej do pisania listu do ciotki. Prawie automatycznie sięgnęła po kompakt z muzyką do *My Fair Lady*.

To będzie sprawdzian, powiedziała sobie w duchu. Czas przestać marzyć o tym, co by się mogło zdarzyć. Jeśli uda mi się wysłuchać płyty i nie pogrążyć się w bolesnym rozżaleniu, to znaczy, że wygrałam.

Włożyła kompakt do odtwarzacza, po czym sięgnęła do biurka po papier listowy i długopis. Rozległy się pierwsze takty. Wskoczyła na łóżko i oparła się wygodnie o poduszki. Natychmiast obok niej zjawiała się Amber i zwinęła w kulkę.

Słuchając uwertury, Laurie poczuła szarpiące ukłucie żalu, ale niemiłe wrażenie szybko minęło. Już po chwili całkowicie pochłonęło ją pisanie listu i nawet nuciła sobie przy tym pod nosem.

- Amber - powiedziała wesoło do kota - to już nie boli! Mogę słuchać płyty i wcale nie mam wrażenia, że coś mnie rozdziera na strzępy. Nie rozpaczam już, że nie będę śpiewała tych piosenek na scenie!

Amber odpowiedziała jej znudzonym ziewnięciem. W tym momencie w drzwiach pojawiła się głowa pana Adamsa. Przyszedł zawiadomić córkę, że kolacja jest gotowa.

- Już idę, tato - odpowiedziała. Szybko wsadziła list do koperty i napisała na niej adres. Potem schowała go do plecaka, zamierzając wysłać następnego dnia w drodze do szkoły. Teraz już mogła zejść do jadalni.

Po kolacji zajęła się algebrą. W pewnej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych.

- Laurie, ktoś dzwoni. Możesz otworzyć?! - zawołała pani Adams. - Myję głowę, a nie wiem, gdzie jest tata.

- Jasne, mamó! - odrzyknęła. Ześliznęła się z łóżka i pobiegła na dół, przypuszczając, że gościem jest Jane. Wspomniała coś w szkole, że przydałoby się jej towarzystwo, kiedy wieczorem będzie szła do biblioteki.

Ale za drzwiami wcale nie stała Jane. To był Matt i wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, żeby się domyślić, że stało się coś naprawdę złego.

- Cześć, Matt, wejdz - zaprosiła go. - Wyglądasz strasznie! Co się stało?

Wszedł do środka.

- Chodzi o Grampsa, Laurie. Jest w szpitalu. Lekarz twierdzi, że jego stan jest poważny. Jutro ma zostać przewieziony do

szpitala w Bostonie na operację.

- Jutro! - sapnęła Laurie. - Och, Matt, czy to groźne? Skinął głową ponuro.

- Mają mu założyć potrójny bypass. A potem, kiedy już minie rekonwalescencja, ma zamieszkać ze swoją córką. Ona uważa, że nie powinien dłużej być sam. - Ciężko przełknął ślinę. - Wybieram się do szpitala, żeby się z nim pożegnać. Pomyślałem, że może chciałabyś pójść ze mną.

- Och, tak! - wykrzyknęła. - Zaczekaj chwilkę, powiem tylko mamie, dokąd idę.

Po pospiesznym wyjaśnieniu matce, co się stało, założyła kurtkę i dołączyła do Matta.

Kiedy szli do Main Street, powiedziała z niepokojem:

- A teraz opowiedz mi o wszystkim od samego początku.

- No więc pani Lawrence - to jest córka Grampsa - przyjechała wczoraj rano. Kazała mu natychmiast udać się do lekarza, a doktor Miller bez zwłoki umieścił go w szpitalu. Kiedy tylko otrzymali wyniki badań, zaczęli załatwiać mu operację serca w Bostonie. Dowiedziałem się o tym, kiedy dzisiaj po pracy wpadłem do Grampsa, żeby się przywitać i zająć zwierzętami. W domu była tylko pani Lawrence i pakowała rzeczy ojca.

Laurie otworzyła szeroko oczy.

- To znaczy, że Gramps już tu nie wróci? Nigdy? Matt potrząsnął ze smutkiem głową.

- Na to wygląda. Pakowała wszystkie jego ubrania i rzeczy osobiste, szachy i albumy ze znaczkami. - Laurie w świetle latarni dostrzegła, że Matt ma zmarszczone czoło. - Pani Lawrence mnie nie lubi. Gdybyś zobaczyła jej minę, kiedy wszedłem do domu - jakbym był jakimś złodziejem. Mam nadzieję, że nie zabroni nam zobaczyć się z Grampsem.

- Chybaby tego nie zrobiła, co? - zapytała Laurie z przynębeniem w głosie. - Czy wiesz, dlaczego cię nie lubi?

Matt jeszcze bardziej spochmurniał.

- O tak, dała mi to jasno do zrozumienia podczas swojej ostatniej wizyty. Uważa, że przyjaźnię się z Grampsem tylko ze

względu na jego pieniądze. Mówi, że wszyscy go wykorzystują, bo jest taki szczodry. - Westchnął. - Chyba wiem, dlaczego ma takie wrażenie. W końcu to jej ojciec i stara się go chronić.

- Ale przecież nie trzeba chronić Grampsa przed tobą! - oburzyła się Laurie, trochę zdyszana, bo starała się dotrzymać kroku Mattowi, który gnał przed siebie jak oszalały. - Jest twoim najlepszym przyjacielem, a ty z pewnością jego!

- Pani Lawrence w to nie wierzy - mruknął. - Myśli, że ponieważ jestem biedny, kręcę się wokół Grampsa, mając nadzieję, że zostawi mi w spadku swoje pieniądze. Już zresztą złożyła podanie do sądu o przydzielenie jej nadzoru nad jego majątkiem.

- A co to oznacza?

- To znaczy, że prosi sąd, żeby uznał Grampsa za niepoczytalnego i nie będącego w stanie osobiście zajmować się swoimi sprawami. Ona ma zyskać prawo podpisywania za ojca wszelkich dokumentów oraz przejąć majątek i konta bankowe.

Laurie była zaszokowana.

- Ale przecież Gramps nie jest niepoczytalny! - zaprotestowała. - Z jego umysłem nie dzieje nic złego!

- My to wiemy - stwierdził Matt - ale wiele osób w mieście uważa go za ekscentryka i dziwaka. Obawiam się, że jego córce się uda.

Laurie musiała przyznać, że Matt zapewne się nie myli. W końcu do ostatniego piątku ona sama miała o Grampsie podobne zdanie jak reszta mieszkańców miasta.

Kiedy mijali drzwi szpitala, zauważyła, że Matt prostuje się, tak jakby przygotowywał się do walki. Widocznie denerwował się przed spotkaniem z wyniosłą panią Lawrence. Laurie sama czuła się bardzo niepewnie. Podeszli do recepcjonistki, która spoglądała na nich chłodno. Matt zapytał o pana Allertona.

- Pacjentów na kardiologii może odwiedzać tylko dwóch gości naraz - poinformowała. - A w tej chwili u pana Allertona jest jego córka.

- W porządku, Matt - pośpiesznie odezwała się Laurie,



dotykając jego ramienia. - Ty idź, a ja tu na ciebie poczekam.

Ale Matt nie zamierzał się poddać.

- Bardzo proszę, proszę pani. Przenoszą go jutro do szpitala w Bostonie i może już nigdy tu nie wróci - błagał. - Jesteśmy jego przyjaciółmi i chcieliśmy się tylko pożegnać. Będziemy u niego minutkę, przyrzekam.

Laurie wstrzymała oddech, kiedy recepcjonistka zastanawiała się, co zrobić, a potem, najwidoczniej poruszona szczerością Matta, zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie słucha, i szepnęła:

- Nie powinnam tego robić, ale - wsunęła Mattowi w dłoń dwie przepustki dla gości - pokój dwieście cztery.

- Dzięki! - odszepnął. - Chodź, Laurie. Idziemy!

## ROZDZIAŁ 8

Wjechali windą na drugie piętro. Kiedy prawie truchtem przemierzali cichy korytarz do pokoju Grampsa, Laurie miała wrażenie, że zaraz rozlegnie się wycie syren i z megafonu popłynie surowe obwieszczenie: Troje gości w pokoju dwieście cztery!

W chwili gdy Matt pchnął drzwi do pokoju, przysunęła się do niego jak najbliżej. Bez cienia wątpliwości nie miała ochoty spotkać pani Lawrence, którą wyobrażała sobie jako wiedźmę z haczykowatym nosem, miotającą się nad biednym Grampsem, leżącym bezradnie na szpitalnym łóżku.

Ale ku jej zdziwieniu Gramps nie leżał, tylko siedział i wyglądał na tak samo zadowolonego z życia jak w niedzielę. Kiedy ich zobaczył, oczy mu zaślnęły. Przywitał się z nimi potrząśnięciem dłoni.

- Tak się cieszę, że przyszliście!

Siedząca na łóżku elegancko ubrana kobieta w średnim wieku podskoczyła na nogi jak wystrzelona z procy. Laurie była jeszcze bardziej zdziwiona od niej, bo stwierdziła, że kobieta wcale nie ma haczykowatego nosa. Była nawet ładna, choć wyraz jej twarzy nie był zachęcający.

Zanim zdążyła się odezwać, Matt powiedział:

- Pani Lawrence, to moja koleżanka Laurie Adams. Przyszliśmy pożegnać się z Grampsem.

- Ale chyba nie pójdziecie sobie tak od razu - upewniał się staruszek. - Margaret, usiądź i odpręż się - rzucił do córki. - Ta krótka wizyta mi nie zaszkodzi.

- Czy dałeś temu chłopcu klucz do domu? - zapytała pani Lawrence.

- Tak - przyznał. - I chcę, żeby Matthew go zatrzymał. Liczę, że zaopiekuje się domem, podwórkiem i zwierzętami, aż będą na tyle silne, żeby dać sobie radę na wolności.

Pani Lawrence spochmurniała. Dla Laurie było jasne, że nie uważa Matta za osobę godną zaufania.

- I jeszcze jedno, Margaret - ciągnął Gramps. - Chcę, żebyś dała mu albumy ze znaczkami. Uczyłem go...

Pani Lawrence przerwała mu.

- Tato, spakowałam już te albumy i nie wolno ich nikomu dotykać. Sędzia Brewster mówi, że nie wolno ci nic nikomu oddawać, zanim nie podejmie decyzji.

- Nie wolno mi nikomu nic dać! - wrzasnął Gramps, prostując się. - Co masz na myśli? To przecież moja własność, czyż nie? A poza tym, co ma do tego Miles Brewster?

- No, tato, uspokój się - poprosiła. - Nie możesz się tak denerwować. Chyba nie wyraziłam się jasno. Sędzia Brewster powiedział, że wolno ci robić podarunki, ale tylko kiedy ja złożę na to pisemną zgodę. A to dlatego, że ustanowił mnie czasowym nadzorcą twoich spraw.

Laurie spodziewała się, że staruszek znowu wybuchnie gniewem, co skończyć się może atakiem serca. Zerknęła na Matta i stwierdziła, że on sam z trudem nad sobą panuje.

Ku jej zaskoczeniu Gramps jednak, zamiast wpaść w furję, nagle się odprężył. Oparł się o poduszki i uśmiechnął słodko do córki. Potem zwrócił się do Laurie.

- Czy mogłabyś mi podać ten notatnik i długopis ze stołu? Jestem przekonany, że moja córka nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym przekazał Mattowi niewielki prezencik na pamiątkę naszej przyjaźni.

Laurie uczyniła to, o co poprosił, po czym wszyscy wpatrywali się w staruszkę, który wypisywał coś na kartce.

- No! - rzucił, kiedy skończył, stawiając na spodzie swój podpis. - Nie przypuszczam, żeby sędzia uznał ten podarunek za nieważny, co, Margaret?

Pani Lawrence pochyliła się i podejrzliwie popatrzyła na zapisaną kartkę.

- Na Boga! Co to jest, tato? Wygląda to jak spis wersetów z Biblii.

Gramps skinął głową.

- Właśnie. Te wersety zawierają specjalne myśli, które chcę

przekazać Mattowi. No a teraz, czy mogłabyś to podpisać na znak przyzwolenia? - Wsadził jej w ręce notatnik.

- Tato, to niemądre! - zawołała, wyraźnie poirytowana. - Nie muszę wydawać zgody na coś takiego.

- Margaret, to jest prezent ode mnie dla Matthew - cierpliwie tłumaczył Gramps. - Jeśli masz zatwierdzać moje podarunki, dlaczego nie zacząć od tego?

- Och, dobrze, skoro nalegasz. - Westchnęła. Wzięła notatnik i złożyła na kartce swój podpis. - Proszę! - chciała oddać notatnik ojcu, ale on potrząsnął głową.

- Musisz dopisać datę - powiedział. - Żeby było oficjalnie, musi być data.

- No naprawdę - mruknęła pod nosem, dopisując datę. - Nie mogę uwierzyć, że stroisz sobie ze mnie żarty, kiedy ja tylko staram się bronić twoich interesów.

- Nie stroję sobie z ciebie żadnych żartów, kochanie. Jestem całkowicie poważny - zapewnił, ale Laurie widziała, że jego oczy pobłyskują przekornie. Wyglądało na to, że dobrze się bawi, drocząc się z córką. - A teraz, żebyśmy mieli pewność, że ta kartka zostanie uznana przez sąd, musimy znaleźć niezależnego świadka. Laurie, czy mogłabyś zadzwonić po pielęgniarkę?

- Tato, to niedorzeczność! - obruszyła się pani Lawrence. - Wiem, że sprzeciwiasz się temu, żebym przejęła kontrolę nad twoim majątkiem, ale robię to wyłącznie dla twojego dobra.

Gramps skinął głową i uśmiechnął się.

- Uwierz mi, Margaret, rozumiem cię całkowicie. Kiedy tylko siostra Watkins to podpisze, mój podarunek zyska moc prawną.

Siostra Watkins nie była zadowolona, widząc pokój pacjenta pełen gości.

- Wy dwoje musicie wyjść - rzuciła oschle do Laurie i Matta. - Pan Allerton nie powinien się ekscytować.

- No, Bessie, zaraz sobie pójdą - zapewnił Gramps - ale przedtem potrzebujemy twojego podpisu. Są tu już podpisy mój i mojej córki, potrzebujemy jeszcze poświadczenia bezstronnego świadka.

Pielegniarka spojrziała na kartkę, przewróciła oczami, wzruszyła ramionami i złożyła podpis.

Gramps jeszcze raz popatrzył na dokument, po czym odetchnął z satysfakcją.

- Matthew - zaczął ciepłym głosem - te wersety mają specjalne znaczenie. Zostały mi przekazane przez moją babkę, która dostała je od swojej matki wiele, wiele lat temu. Mam nadzieję, że przyniosą ci szczęście. To mój pożegnalny prezent dla ciebie.

Matt odbierał od niego dokument, połykając łzy wzruszenia.

- Dziękuję, Gramps - powiedział, pochylając się, by uściskać staruszkę. - Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem. - Odwrócił się pospiesznie, żeby ukryć emocje.

Siostra Watkins czekała niecierpliwie, aż także Laurie pochylił się i pocałuje Grampsa.

- Życzę pomyślnej operacji, panie Allerton - szepnęła mu do ucha. - Będziemy za panem tęsknili.

Uścisnął jej dłoń. Skierowali się do wyjścia, ale zanim doszli do drzwi, zatrzymał ich głos Grampsa.

- Matthew, nie wiem, czy ci mówiłem, że moja prababka była misjonarką na Hawajach.

Laurie i Matt stanęli jak wryci. Obydwoje odwrócili się i spojrzeli na staruszkę. Laurie zobaczyła błysk zrozumienia w oczach Grampsa i Matta. Gramps już więcej się nie odezwał, tylko powoli pokiwał głową. Ani pani Lawrence, ani pielęgniarka nie zauważyły tej milczącej wymiany myśli, ale Laurie miała wrażenie, że pomiędzy Grampsem i Mattem przeleciało coś na kształt elektrycznych fluidów.

Matt złapał ją za rękę i wyprowadził na korytarz. Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, zapytała szeptem:

- Matt, co to znaczyło? Co Gramps chciał ci powiedzieć? Matt szedł tak szybko, że ledwie za nim nadążała.

- Zaczekaj, aż znajdziemy się na zewnątrz - rzucił do niej.

Zamiast czekać na windę, zbiegli po schodach. Mall zwrócił recepcjonistce przepustki dla gości, pożegnał się z nią grzecznie i

spokojnie minął główne wejście.

Laurie pociągnęła go za rękaw.

- To wcale nie jest prawda, że prababka Grampsa była misjonarką na Hawajach, co? - zapytała.

- Nie - potwierdził, potrząsając głową. - Jestem przekonany, że w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że ten prezent ma coś wspólnego z kolekcją znaczków.

- Ale przecież wszystkie albumy zabrała pani Lawrence - przypomniała mu. - Co jest na tej kartce?

Matt wyciągnął ją z kieszeni kurtki i zaczął czytać na głos: „Ja, William T. Allerton, podarowuję niniejszym ten prezent Matthew Hardingowi...”

- Czytaj dalej - ponaglała go.

- Tu jest spis wersetów z Biblii, numery i to wszystko - odparł. - Nie wiem, o czym mówią te wersety, ale wiem, że Gramps w ten sposób przekazuje mi jakąś wiadomość. Musimy natychmiast zajrzeć do Biblii i sprawdzić.

- Chodźmy do mnie - zaproponowała, kiedy zbiegali po stopniach szpitalnych schodów. - To bliżej.

Kiedy dochodzili do jej ulicy, prawie się dusiła z braku tchu, tak pędzili.

- Czy myślisz, że pani Lawrence będzie robiła jakieś problemy, jeśli się dowie, że Gramps zostawił ci sekretną wiadomość? - wysapała. - To znaczy, chodzi mi o to, co będzie, jeśli ta wiadomość dotyczy czegoś naprawdę cennego? Wprawdzie pani Lawrence podpisała się na kartce, a siostra Watkins poświadczyła to swoim podpisem, ale założę się, że znajdzie się sposób, żeby to unieważnić. Mogą na przykład uprzeć się, że Gramps nie był przy zdrowych zmysłach, kiedy to pisał.

Matt zwolnił nieco i uścisnął jej dłoń.

- Będziemy się o to martwili, kiedy się dowiemy, czego dotyczy wiadomość. Poza tym, umysł Grampsa jest jak ze stali. Jego córka nieźle się namęczy, zanim dowiedzie, że jest wariatem.

Dotarli wreszcie do domu. Rodzice Laurie siedzieli w salonie i oglądali telewizję. Laurie chciała jak najszybciej dorwać się do

Biblii, ale jednak najpierw wypadło przedstawić Matta i zdać relację o stanie zdrowia Grampsa.

- Tato, czy mogę na chwilę wejść do twojego gabinetu? - zapytała po chwili. - Mam pewną pracę domową do odrobienia.

- Naturalnie - odparł ojciec z uśmiechem i odwrócił wzrok do telewizora.

Laurie wyjęła z biblioteczki Biblię i pociągnęła Matta za sobą do gabinetu ojca. Usiedli przy biurku i rozłożyli przed sobą kartkę i Biblię.

- Jaki jest pierwszy werset? - zapytała z podnieceniem.

- Księga Jeremiasza, rozdział dwudziesty dziewiąty, werset jedenasty - odparł.

Laurie przerzuciła strony Biblii.

„Jestem bowiem świadomy, jakie rzeczy zamyślam co do was - przeczytała na głos. - by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”.

- Kocham tego staruszka - powiedział Matt zdławionym głosem.

- A on kocha ciebie - odparła. - Chce ci pomóc. Następny werset?

- Izajasz, rozdział czterdziesty piąty, werset trzeci. Przeczytawszy go, Laurie szeroko otworzyła oczy.

- Matt, posłuchaj! - wykrzyknęła. - Tu jest napisane: „Przekażę ci skarby schowane i bogactwa głęboko ukryte”. Skarby schowane i ukryte! Może chodzi o sejf? Czy Gramps ma w domu sejf?

Matt wydawał się zdumiony.

- Chyba... chyba nie. Znam jego dom dość dobrze, ale nie widziałem żadnego sejfu. Sprawdź następny werset - może on nam coś wyjaśni. Księga Ezechiela, rozdział ósmy, werset siódmy.

Laurie czuła, że drży, wertując Biblię w poszukiwaniu księgi Ezechiela.

- „Zaprowadził mnie potem ku wejściu i popatrzyłem, a oto był tam otwór w murze” - przeczytała.

Matt siedział tuż obok Laurie.

- Otwór w murze? - powtórzył. - Wejście? Nic nie rozumiem. Nie przypominam sobie nigdzie żadnego otworu czy dziury. Popatrzmy na następny - Księga Przysłów, rozdział dwudziesty piąty, werset jedenasty.

Laurie znalazła właściwy ustęp, ale zamiast czytać, wpatrywała się w księgę ze zdumieniem.

- Czy to ma dla ciebie jakiś sens? - zapytała. - „Złote jabłka na filigranowych sprzętach ze srebra - to słowo mówione w czasie właściwym”.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko na tekst, marszcząc czoło. Nagle Laurie sapnęła.

- Matt, nie sądzisz, że Gramps próbuje ci powiedzieć, że bogactwa ukryte to jest złoto i srebro?

- Sam nie wiem, co myśleć - odpowiedział z wahaniem. Potem twarz mu pojaśniała. - Poczekaj! Może on chce nam powiedzieć, gdzie mamy szukać tej dziury w ścianie! W ogródku w pobliżu tylnego wyjścia stoi mała jabłonka... Może jest tam jakaś dziura, chociaż nigdy nie zwróciłem na to uwagi.

- Czasami nie widzi się rzeczy, dopóki się ich nie szuka - z nadzieją stwierdziła Laurie. - Jaki jest następny werset?

- Księga Liczb, rozdział pięćdziesiąty, werset trzeci. Przerzuciła strony z powrotem do Księgi Liczb, mrużąc:

- Rozdział pięćdziesiąty... rozdział pięćdziesiąty... - Nagle zamarła z przerażeniem. - Matt, nie ma żadnego rozdziału pięćdziesiątego. Gramps musiał się pomylić.

Matt potrząsnął głową na znak, że w to nie wierzy.

- Niemożliwe. Gramps zna Biblię od deski do deski. Zobacz następny ustęp, też jest z Księgi Liczb. Rozdział czterdziesty piąty, werset drugi i rozdział czterdziesty, werset pierwszy.

Tym razem Laurie nie musiała nawet zaglądać do Biblii.

- Nie ma rozdziału czterdziestego ani czterdziestego piątego, Matt - powiedziała cicho. - Księga Liczb kończy się na trzydziestym trzecim.

- Przecież te wersety muszą coś oznaczać - upierał się. - Gramps doskonale wiedział, co robi.



Laurie nie chciała się z nim sprzeczać, ale nie podzielała jego wiary w pamięć Grampsa. Jej babcia nieustannie utyskiwała, że ciągle o czymś zapomina, choć ma dopiero siedemdziesiąt trzy lata, a Gramps osiemdziesiąt trzy. Może jednak jego umysł nie jest tak lotny, jak sądzi Matt.

- Jest jeszcze jeden werset - powiedział. - Znowu Izajasz, rozdział trzydziesty, wiersz dwudziesty pierwszy.

Szukając księgi, Laurie starała się nie pokazywać po sobie zwątpienia i zniechęcenia. Odczytała tekst na głos:

- „To jest droga, idźcie nią! Gdybyś zoczył na prawo lub na lewo”. - Ten urywek nie miał nic wspólnego ze złotem, srebrem i otworami w ścianie. W rzeczywistości wydawał się w ogóle pozbawiony sensu.

Ale Matt nie poddał się zniechęceniu ani na sekundę.

- Jestem pewny, że zrozumie, o co tu chodzi, jeśli będę mógł rozejrzeć się w domu Grampsa! - zaczął krążyć niespokojnie po pokoju. - Która godzina?

- Już po dziewiątej - odpowiedziała, zerkając na zegarek stojący na biurku.

- Sądzisz, że jest za późno, żeby tam teraz iść? - zapytał z zapalem.

- Obawiam się, że tak - potwierdziła. - Poza tym pani Lawrence mogła zatrzymać się u ojca na noc. Gdyby odkryła, że szwendasz się po domu, pewnie kazałaby cię zaaresztować.

- Chyba masz rację - przyznał niechętnie. - Wprawdzie wiem, że zatrzymała się w hotelu Chilton, ale mogła poprosić policję, żeby mieli dom na oku. W takim razie może jutro? Moglibyśmy pojechać tam na rowerach przed szkołą, na przykład o szóstej rano.

Choć entuzjazm Laurie dość znacznie przygasł, za nic nie zawiodłaby Matta.

- Dobrze, tylko że o tej godzinie prawdopodobnie będę chodziła we śnie - ostrzegła. - Muszę się jeszcze pouczyć do klasówki z algebry, zanim pójdę do łóżka.

- Dzięki, Laurie - powiedział z ciepłym uśmiechem.

Odprowadziła go do drzwi. - Jesteś prawdziwym przyjacielem. Spotkamy się o szóstej przy błoniach. Znajdziemy tę dziurę w ścianie, a wtedy wszystko inne samo się wyjaśni.

- Mam nadzieję - odrzekła.

Jednak odprowadzając go wzrokiem, nie mogła oprzeć się myśli, że Gramps się pomylił. Wcale nie była taka przekonana, że znajdą dziurę, lecz nie chciała krakać. Poza tym, mimo wątpliwości, cała historia stała się tak tajemnicza, że aż intrygująca.

## ROZDZIAŁ 9

Kiedy następnego ranka Laurie pedałowala w stronę błoni, była jeszcze całkiem nieprzytomna. Zaczynał się piękny wiosenny dzień, ale powietrze nadal z rana było na tyle chłodne, żeby bardzo szybko ją orzeźwić. Matt już na nią czekał i robił kółka dookoła pomnika Pielgrzymów.

- Jedziemy! - zawołał, kiedy tylko ją zobaczył. Pędził po Mapie Lane, jakby ścigały go demony. Laurie udawało się dotrzymać mu tempa, ale gdy stanęli przed domem Grampsa, nie mogła złapać tchu.

Matt zeskoczył z jeszcze toczącego się roweru.

- Zaczniemy od podwórka - zarządził, biegnąc na tyły domu. Laurie porzuciła rower i pobiegła za nim.

Kiedy była tu w niedzielę, żeby obejrzeć menażerię Grampsa, nie zwróciła uwagi na otoczony murkiem ogródek.

Teraz spostrzegła świeżo skopaną ziemię i starą jabłonkę z gołymi jeszcze gałęziami. Ze smutkiem pomyślała, że Gramps nie zasadzi tu już nowych kwiatów ani też nie będzie widział pąków na jabłonce.

- „Zaprowadził mnie ku wejściu i był tam otwór w murze” - Matt z zastanowieniem wypowiedział tekst z Biblii. Podszedł do szerokich stopni prowadzących na wąski ganek. Przyglądał się zniszczonej framudze otaczającej tylne drzwi. - Cóż, można by to nazwać wejściem. Laurie, widzisz tu gdzieś jakąś dziurę?

Obydwoje uważnie obejrzeli każdy centymetr drzwi i ściany dookoła, potem werandy, schodów i nawet podmurówki domu. Ale nic nie wydawało im się ani nadzwyczajne, ani tajemnicze. Nie znaleźli też żadnej dziury.

Matt westchnął, sfrustrowany.

- Nie umiem pojąć, co Gramps miał na myśli! Może nie jestem na tyle bystry, żeby zrozumieć tę szaradę.

- To nie jest tylko szarada, Matt - przypomniała mu Laurie. - To jego sposób na podarowanie ci czegoś ważnego, czegoś, czego pani Lawrence nie może ci odebrać! Jeszcze raz przeczytaj

uważnie tekst urywków.

Matt wyciągnął kartkę, na której spisał wszystkie wersety z Biblii.

- Zaprowadził mnie ku wejściu i był tam otwór w murze.

- Jeśli tylne drzwi są tym wejściem, to może dziura znajduje się wewnątrz domu - podsunęła Laurie.

- Albo tylne drzwi nie są tym wejściem, o które chodzi - dumął Matt. - Może chodzi o przejście w murku, które prowadzi do reszty posesji.

- No to sprawdźmy to - zachęciła. Matt zmarszczył czoło.

- A co ze wzmianką o jabłkach? Jabłonka stoi tutaj.

- Złote jabłka na filigranowych sprzętach ze srebra - mruknęła Laurie, podnosząc głowę i przyglądając się gałęziom drzewa. - Ciekawe, co miał przez to na myśli. Co to znaczy - filigranowych?

- Tu mnie masz - stęknął Matt i znowu westchnął. - Może w czasie, gdy ja będę oglądać drzwi od środka, ty byś obeszła murek na zewnątrz i zobaczyła, czy nie ma tam jakiejś dziury.

Nic nie znalazł i Laurie też nie. Wiedzieli, że muszą zakończyć poszukiwania, bo inaczej spóźnią się do szkoły. Matt jeszcze tylko jak co dzień z rana poszedł sprawdzić, co słychać u zwierząt. Nakarmił je i obejrzał te okaleczone, a Laurie w tym czasie naląła im do pojemników świeżej wody. Potem wsiedli na rowery i odjechali w stronę centrum.

- Wiem, że coś w tych podpowiedziach pomijamy - stwierdził, kiedy jechali obok siebie. - Gramps nie wymyśliłby kodu, którego nie umiałbym rozszyfrować, bo inaczej wszystko, co zrobił, nie miałoby sensu.

- Rozwiążemy tę zagadkę - próbowała podnieść go na duchu.

- Musimy pomyśleć intensywniej i wrócić do domu Grampsa - oświadczył stanowczo. - Pracujesz dzisiaj po szkole?

Skinęła głową.

- Tak, ale skończę około szesnastej trzydzieści, najpóźniej o siedemnastej. Potem mogę spotkać się z tobą u Grampsa.

- Ale ja nie mogę. W sklepie muszę być do dziewiętnastej.

Ale może pojedziemy, kiedy skończę. Zadzwoń do ciebie, dobrze?

- Dobrze, a ja przyrzekam wpaść na jakieś nowe pomysły.

Przez cały poranek w szkole, nawet w trakcie rozwiązywania testu z algebry, Laurie myślała i myślała, ale w głowie miała tylko pustkę. Nieustannie powracało do niej słowo „filigranowych”. Może powinni się skoncentrować na tym właśnie, zamiast na jabłkach i na otworze w murze. Ponieważ nie wiedziała, co to znaczy „filigranowy”, postanowiła jak najszybciej to sprawdzić.

Przed popołudniową lekcją angielskiego pożyczyła od nauczycielki słownik i odnalazła właściwe hasło. Była w nim mowa o kunsztownie wykonanych przedmiotach i oprawach, zwłaszcza biżuterii.

Laurie starała się odtworzyć w myślach wizyty u Grampsa, ale nie przypominała sobie żadnej rzeczy ani w domu, ani na zewnątrz, która by pasowała do opisu. Czy srebrny filigranowy przedmiot odnosi się do naszyjnika, czy może do innej cennej rzeczy ukrytej gdzieś w domu? A jeśli tak, to czy kiedykolwiek uda im się odnaleźć tę rzecz?

Lekcja się zaczęła i Laurie oparła głowę na rękach, starając się skoncentrować na słowach pani Piper. Nagle jedno zdanie przykuło jej uwagę. •

- Sztuki Henryka Ibsena były w oryginale napisane po norwesku, ale kilku tłumaczy przełożyło je na angielski - wyjaśniała nauczycielka. - Porównanie tych tłumaczeń to bardzo interesujące zajęcie. Niektóre przekłady odkrywają przed nami całkowicie inne znaczenie...

Laurie gwałtownie się wyprostowała, zapominając o bólu głowy. Biblia napisana była po hebrajsku, aramejsku i grecku.

Od tamtej pory doczekała się wielu przekładów na angielski. Prawdopodobnie istnieje tuzin różnych wersji, pomyślała z podekscytowaniem. A jeśli Gramps podał cytaty nie z tego przekładu, z którego korzystali z Mattem? Nawet kilka słów różnicy może ogromnie wpływać na znaczenie. Może jednak przesłanie Grampsa ma jakiś sens!

Laurie niecierpliwie czekała chwili, kiedy będzie mogła sprawdzić swoją nową hipotezę. Czuła, że nie wytrwa do końca dnia szkolnego, ale wreszcie zadzwonił ostatni dzwonek.

- Gdzie się tak spieszysz? - zapytała Jane, kiedy przemknęła obok przyjaciółki korytarzem.

- Do pracy - odkrzyknęła przez ramię nie zwalniając. - Pogadamy później!

Chociaż najchętniej zapytałaby teraz Matta, której wersji Biblii używali z Grampsem do swojej słownej gry, to jednak najpierw musiała wykonać zlecenie - żeby zdobyć ostatnie dwadzieścia dolarów potrzebne na Akcję Pomocy.

Ubrana w skórzaną tunikę i wyszywane paciorkami mokasyny, zjawiała się w sklepie ze sprzętem sportowym na Main Street o czasie. Odśpiewała piosenkę z tekstem pani Vincent do melodii *The Indian Love Cali* przed solenizantem, pracownikiem sklepu, który obchodził urodziny, grzecznie zjadła kawałek tortu i natychmiast wybiegła ze sklepu.

Kilka minut później wpadła do spożywcza, w którym pracował Matt. Znalazła go pomiędzy półkami. Układał na nich jakieś puszki.

Ucieszył się na jej widok.

- Laurie! - zawołał. - Co ty tutaj robisz? Wymyśliłaś coś?

Z zapalem skinęła głową.

- Tak! - Zniżając głos do szeptu, ciągnęła: - Pomogła mi nauczycielka od angielskiego i to co powiedziała dzisiaj na lekcji. Posłuchaj, każdy tłumacz może nadać słowu zupełnie odmienne znaczenie. Istnieje wiele tłumaczeń Biblii! Czy wiesz, jakiej używał Gramps?

Matt wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Och! Laurie, to niesamowite! - Zmarszczył czoło z zastanowieniem. - Gramps ma wielką starą Biblię. To chyba jest wersja z czasów króla Jamesa.

- A sprawdzaliśmy w innej! - Laurie trzęsła się z ekscytacji. - Wiem, że w domu jest także druga Biblia, ta od króla Jamesa. Czy zabrałeś ze sobą spis z wersetami? Daj mi go, to jak tylko wrócę

do domu, odnajdę je i porównam z poprzednią wersją.

Matt wyciągnął z kieszeni kartkę.

- Proszę. Zadzwoń do mnie i powiedz, co znalazłaś, dobrze? Pan Porter pozwala mi odbierać ważne telefony.

- Dobrze - przyrzekła. - Odwiozę tylko kostium do pani Vincent.

Uśmiechnął się.

- Wielka szkoda. Dobrze ci w tym przebraniu. Pochylił się i nieśmiało ją pocałował, co całkowicie zbiło ją z tropu. Była tak zaszokowana i zachwycona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu, tylko patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że się czerwieni, ale nie mogła nic na to poradzić. Poza tym Matt także się zaczerwienił.

- No cóż, chyba muszę wracać do roboty - wybąkał, odwracając się do półek.

- Zadzwoń - szepnęła. Wybiegła ze sklepu i jakby płynęła na różowej chmurce, w mgnieniu oka przebiegła jedno skrzyżowanie. Dopiero stojąc na światłach zorientowała się, że zapomniała zabrać spod sklepu swój rower.

Mamo, czy mamy Biblię króla Jamesa? - zapytała, kiedy tylko dotarła do domu.

Pani Adams wyglądała na zaskoczoną.

- Biblię?

- Nie chodzi po prostu o Biblię - wyjaśniała - ale o wersję z czasów króla Jamesa. Robię pewne badania i potrzebuję tego właśnie tłumaczenia. Mamy je, prawda'?

- Tak mi się zdaje, kochanie - odparła matka. - Sprawdź w biblioteczce w gabinecie ojca.

- Dzięki, mam!

Pobiegła do gabinetu i bardzo szybko odnalazła właściwą Biblię. Stała obok ksiąg prawniczych ojca. Usiadła przy biurku, po czym z kieszeni wyjęła kartkę od Matta.

- Księga Przysłów, rozdział dwudziesty piąty, werset jedenasty... - mruzczała, otwierając księgę i przekładając strony.

Serce zabiło jej szybciej, kiedy wreszcie znalazła tekst.

Brzmiał inaczej! Zamiast „Złote jabłka na filigranowych sprzętach ze srebra” w Biblii stało napisane: „Złe słowo w ustach jest jak złote jabłko na srebrnym obrazie”.

Dla Laurie nowe tłumaczenie nie miało większego sensu niż poprzednie, ale pomyślała, że może Matt coś zrozumie. Odnalazła numer telefonu do sklepu pana Portera i zadzwoniła. Była zadowolona, kiedy odebrał sam Matt.

- Matt, to ja, Laurie. Posłuchaj... czy to ci coś mówi? Odczytała zdanie, po czym w słuchawce zapadła cisza tak długa, że pomyślała, iż połączenie zostało przerwane. Potem nagle usłyszała, że Matt głośno nabiera powietrza.

- Laurie, mam! - krzyknął. - Zaraz przy drzwiach w korytarzu w domu Grampsa wisi obraz przedstawiający żółte owoce, głównie jabłka i kilka gruszek! Obraz jest w srebrnej ramie!

- Złote jabłka na srebrnym obrazie - wyszeptała. - Och, Matt, to musi być to! To o to chodziło Grampsowi!

- Będziesz mogła pojechać tam ze mną, kiedy skończę pracę?  
- zapytał z zapalem.

- Jestem pewna, że tak - odpowiedziała, podniecona tak samo jak on. - Poproszę tatę, żeby pożyczył mi samochód. Jeśli będzie z tym problem, oddzwonię, a jeśli nie, to znaczy, że przyjadę po ciebie pod sklep.

- Weź ze sobą latarkę - zasugerował. - Pani Lawrence mogła wyłączyć prąd.

- Słusznie. Zobaczymy się o siódmej... mam nadzieję. Przy kolacji Laurie tak bardzo denerwowała się tym, czy ojciec pozwoli jej wziąć samochód, że prawie nie tknęła jedzenia. Kiedy matka podawała deser, powiedziała:

- Ja dziękuję, mamo. Trochę się spieszę. Wybieramy się z Mattem na chwilę do domu pana Allertona.

- Do Allertona? - upewnił się pan Adams. - Po co? Co się dzieje?

Laurie chciała najpierw powiedzieć, że jedzie pomóc Mattowi nakarmić zwierzęta, ale ostatecznie uznała, że nie warto kłamać. Musi być uczciwa wobec rodziców. Nabrała głęboko



powietrza.

- W czasie wizyty w szpitalu pan Allerton dał Mattowi pewną karteczkę z instrukcją, gdzie w domu Matt ma szukać prezentu dla siebie.

- Karteczkę? - Ojciec Laurie był najwyraźniej zdumiony. - Dlaczego po prostu nie dał mu tej rzeczy, cokolwiek to jest?

- Ponieważ nie miał okazji. Kiedy jego córka zabrała go w poniedziałek do lekarza, nie wiedział, że już nie wróci do domu - wyjaśniła.

Państwo Adamsowie wymienili między sobą pełne wątpliwości spojrzenie, i Laurie, widząc to, skrzyżowała palce pod stołem.

- Czy mogłabym wziąć samochód, tato? Matt nie ma samochodu, a jeśli pojedziemy twoim, szybciej będziemy z powrotem.

- No cóż... - pan Adams niepewnie spojrzał na żonę, ale ta skinęła głową. - Dobrze.

- Dziękuję, tato - rzuciła Laurie z ulgą. Umówiłam się pod sklepem, w którym pracuje Matt, o siódmej. Nie wrócę późno.

- Ale skoro nikogo nie ma w domu, to jak się tam dostaniecie? - zainteresowała się matka.

- Gramps - to znaczy pan Allerton - dał Mattowi klucz. Już dawno temu - wyjaśniła. - Ufa Mattowi całkowicie. Bardzo go lubi.

I ja także, pomyślała w duchu. Ciekawe, czy on czuje to samo do mnie? Przypomniała sobie pocałunek i zadrżała.

Jeszcze nigdy godzina nie dłużyła się jej tak jak teraz. Znalazła latarkę i wsadziła ją do torebki razem z karteczką, na której spisała nowe tłumaczenia wersetów. Potem starała się skoncentrować na pracy domowej z angielskiego, ale równie dobrze mogłaby to być greka. Myślała tylko o Matcie. Jeśli obraz w srebrnej ramie jest kluczem do zagadki, bardzo prawdopodobne, że już dzisiaj odnajdą tajemniczy podarunek. Jeśli ta rzecz jest cenna, to Matt będzie mógł iść na studia weterynaryjne, a może jeszcze zostanie mu coś na potrzeby rodziny!

Dwadzieścia minut przed dziewiętnastą nie mogła już dłużej wytrzymać. Chociaż wiedziała, że Matt nie będzie jeszcze gotowy, włożyła kurtkę, poprosiła ojca o kluczyki do samochodu i wyszła z domu.

Po bardzo ostrożnej jeździe zostawiła samochód na parkingu przed sklepem. Oczekiwanie umilała sobie nuceniem pod nosem piosenek z *My Fair Lady*, ale i tak odnosiła wrażenie, że stoi na parkingu całe wieki.

- Hej, to ekstra mieć własnego szofera - zażartował Matt, kiedy usiadł na miejscu dla pasażera i zapiął pasy.

- Przystaniesz się tak cieszyć, kiedy się przekonasz, jak jeżdżę, zwłaszcza że jestem zdenerwowana - ostrzegła ruszając.

- To tak jak ja! - odrzekł gorąco.

W drodze nie rozmawiali dużo, bo obydwójce byli zbyt przejęci. W końcu dotarli na miejsce. Zanim Laurie wyłączyła światła, zobaczyli, że stary ford Allertona zniknął.

- Pewnie pani Lawrence kazała go zabrać na strzeżony parking - domyślił się Matt.

Wysiedli i ruszyli do domu, którego ciemna fasada oblana słabym światłem księżyca sprawiała bardzo przygnębiające wrażenie. Laurie przyświecała latarką, podczas gdy Matt otwierał drzwi. Weszli do środka. Matt przekręcił kontakt i w korytarzu zabłysło światło.

- Przynajmniej prąd nie jest wyłączony - mruknął. Laurie zamrugła, oślepią nagłą jasnością. Korytarz był całkowicie oczyszczony z mebli, podobnie salon, do którego zajrzała przez próg. Pani Lawrence nie marnowała czasu i bardzo szybko kazała przenieść antyczne meble pana Allertona do przechowalni.

- A jeśli wywiozła także obraz? - zapytała z niepokojem. Matt uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie wywiozła.

Położył rękę na ramieniu Laurie i skierował ją w stronę ściany przeciwległej do drzwi wejściowych. Laurie zobaczyła olejny obraz w srebrnej ramie.

- Złote jabłka w srebrnym obrazie - wyszeptała.

- W wejściu do domu - dodał Matt.

- Matt, powiedz mi, dlaczego pani Lawrence zostawiła obraz, skoro wyniosła z domu wszystkie inne sprzęty? - zdziwiła się Laurie.

- Dobrze pytanie. - Puściwszy jej ramię, podszedł do obrazu. - Może zasłania coś, czego nie chciała, żeby widzieli ludzie od przeprowadzek albo ja.

Usunął obraz z haka i w tej chwili obydwójce aż sapnęli. Na ścianie znajdowały się metalowe czarne drzwiczki w kształcie koła z zamkiem szyfrowym na środku.

- Sejf! - wykrzyknął Matt. - Otwór w ścianie. Gramps chciał, żebym odnalazł ten sejf!

- Ale jak go otworzymy? - zapytała. - Nie znamy szyfru. Gdyby tylko mógł ci podać liczby...

- Liczby... - powtórzył. Nagle wydał z siebie okrzyk tryumfu i objął ją mocno. - Laurie, Gramps to zrobił! Księga Liczb! Te liczby są szyfrem. Czy masz ze sobą kartkę ze spisem wersetów, którą ci dałem?

- Tak, mam ją przy sobie! - Laurie miała kłopot z otwarciem torebki, tak drżały jej ręce. W końcu znalazła kartkę i podała ją Mattowi.

- Księga Liczb, rozdział pięćdziesiąty, werset trzeci; rozdział czterdziesty piąty, werset drugi; i rozdział czterdziesty, werset pierwszy - mruzczał. - Jak myślisz, Laurie, jak to działa?

Spoglądając na kartkę, powiedziała:

- Na liście następny urywek dotyczy Księgi Izajasza. W wersji króla Jamesa brzmi on: „...kiedy skreścisz na prawo albo na lewo”. Może chodzi o to, że najpierw masz przekreślić zamek w prawo do pierwszej liczby, a potem w lewo do następnej i tak dalej!

- OK, spróbujmy.

Matt z wielką ostrożnością przekreślił tarczę w prawo do pięćdziesiątki, w lewo do trójki, znowu w prawo do czterdziestu pięciu, i dalej, jak wskazywały podane przez Grampsa liczby.

Jednak kiedy pociągnął za rączkę, nic się nie wydarzyło. Po następnych dwóch próbach, zakończonych podobnym rezultatem, jego szerokie ramiona opadły bezradnie.

- Nic z tego, Laurie.

Laurie z wielką uwagą wpatrywała się w kawałek papieru, który trzymała w dłoni. Pięćdziesiąt, trzy, czterdzieści pięć, dwa, czterdzieści, jeden... To są liczby.

- Pięćdziesiąt, trzy... Pięćdziesiąt, trzy... - mamrotała. Nagle ją olśniło. - Matt, spróbuj inaczej! Przekręć tarczę trzy razy w prawo na pięćdziesiąt, dwa razy w lewo na czterdzieści pięć, a potem w prawo na czterdzieści!

Drżącymi rękami Matt wykonał jej polecenie. Obydwoje wstrzymali oddech, kiedy chwycił za rączkę sejf i pociągnął. Tym razem drzwi puściły.

- Skarb, Matt! - sapnęła Laurie. - To wszystko twoje!

## ROZDZIAŁ 10

Laurie nie wiedziała, czego się spodziewać, ale kiedy Matt sięgnął w głąb sejfu i wyciągnął z niego cienką, pożółkłą kopertę, poczuła, jak jej serce martwieje.

- To tylko jakiś wypłowiwały list! - wykrzyknęła.

Ale Matt wpatrywał się w kopertę z wyrazem głębokiego zastanowienia.

- Laurie - wykrztusił - to nie jest tylko stary list... Ponieważ po tych słowach zamilkł i najwyraźniej nie zamierzał dalej nic wyjaśniać, zapytała:

- Jak to? W takim razie co to jest? Spojrzał na nią roziskrzonymi oczami.

- Myślę, że to list od prababki Grampsa. Ona naprawdę była misjonarką na Hawajach! Niektóre ze znaczków na tej kopercie są najprawdziwszymi Hawajskimi Misjonarkami i na dodatek są w idealnym stanie! Ten pięciocentowy znaczek może być wart trzydzieści tysięcy dolarów, a ten dwucentowy... Laurie, widziałem podobny w katalogach Grampsa. Wyceniony był na trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Laurie poczuła, że robi jej się słabo. Otworzyła usta ze zdumienia. Chwyając Matta za ramię, szepnęła:

- Trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Popatrzyła na kopertę ze zdumieniem. Znaczki wyglądały tak zwyczajnie! Nie były nawet specjalnie kolorowe, po prostu na jasnoniebieskim tle widniało logo Poczty Hawajskiej, a niżej wydrukowana była cena. List był nadany w Honolulu.

- Och, Matt - sapnęła - to naprawdę jest skarb!

W tym momencie usłyszeli, że otwierają się frontowe drzwi domu, a potem rozległ się szorstki okrzyk: - Nie ruszać się! Jesteście aresztowani.

Okręcili się i zobaczyli funkcjonariusza chiltonskiej policji, oficera O'Harę, wkraczającego do holu. Zaraz za nim w drzwiach ukazała się wykrzywiona furją twarz Margaret Lawrence.

- Wiedziałałam - zaskrzeczała. - Wiedziałałam, że ten chłopak

jest złodziejem!

Laurie była zbyt przerażona, żeby się poruszyć albo odezwać, ale Matt nie spuścił z tonu.

- Nigdy w życiu niczego nie ukradłem, pani Lawrence - stwierdził cicho, lecz stanowczo. - I teraz też niczego nie kradnę.

- W takim razie, co wyjąłeś z sejfu? - zapytała. Matt popatrzył jej prosto w oczy.

- Wyjąłem list, który podarował mi pan Allerton.

- Proszę mi go oddać, chłopcze - odezwał się policjant, ale Matt pokręcił głową i przycisnął kopertę do siebie.

- List jest mój. Pan Allerton mi go podarował. Podał mi nawet szyfr do sejfu.

Policjant zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- To się jeszcze okaże. Teraz cię aresztuję za włamanie i kradzież. Masz prawo zachować milczenie. Masz prawo...

Kiedy skończył wyliczać Mattowi jego prawa, Laurie wreszcie odzyskała głos.

- Nie, panie oficerze! To pomyłka. Matt mówi prawdę. On nie ukradł tego listu...

Policjant jej przerwał.

- Ustalimy to na posterunku. A teraz - odwrócił się do Matta - pójdziesz spokojnie, czy mam cię zakuć w kajdanki?

- A ja zabiorę list - oświadczyła pani Lawrence, wysuwając dłoń.

Matt cofnął się.

- Nie! - krzyknął. - Panie władzo, list należy do mnie! Patrząc to na jedno, to na drugie policjant wahał się, a potem oświadczył stanowczo:

- Lepiej oddaj go mnie, chłopcze. To jest dowód rzeczowy.

Przerażony wzrok Matta spoczął przez moment na Laurie.

- Chyba musisz to zrobić, Matt - powiedziała. Oddał więc list, ale z niechęcią.

- Proszę na niego uważać - powiedział błagalnym głosem. - Jest bardzo stary.

Policjant wsadził kopertę do wewnętrznej kieszeni munduru.

- Chodźmy - rozkazał. Wyszli, a za nimi Laurie.

- Co się z nim stanie? - zapytała z niepokojem. - Czy zamknie pan Matta w więzieniu?

Oficer popatrzył na nią ze współczuciem.

- Jest jeszcze dość wcześnie. Spróbujemy odnaleźć sędziego Brewstera i jeszcze tego wieczoru przeprowadzimy przesłuchanie. Może nie będziemy musieli przetrzymywać twojego chłopca zbyt długo.

- Laurie! - zawołał Matt z napięciem w głosie, zanim wsiadł do samochodu patrolowego - zadzwoń do moich rodziców i opowiedz im, co się wydarzyło. - Laurie pospieszenie spisała numer telefonu, który jej podał, na kartce ze spisem wersetów z Biblii. - Powiedz im, żeby się nie martwili - dodał z wymuszonym uśmiechem. - Ty też się nie martw. Wszystko będzie dobrze, mam nadzieję.

Dławiąc łzy, odprowadzała wzrokiem wóz patrolowy. Pani Lawrence zamknęła dom, po czym całą złość skierowała na nią.

- Natychmiast opuść tę posiadłość - warknęła - albo ciebie także każę zaaresztować!

Wsparała ręce na biodrach i czekała, aż Laurie wsiądzie do samochodu. Matt potrzebuje adwokata, myślała, wślizgując się za kierownicę. Tata! Muszę powiedzieć to tacie!

Miała ochotę ruszyć z piskiem opon, żeby szybciej znaleźć się w domu, ale się opanowała. To nie jest sprawiedliwe, zżymała się w myślach. niesprawiedliwe! Gramps wiedział, że za ten znaczek Matt będzie mógł opłacić uczelnię i wspomóc swoją rodzinę. Te znaczki należą do Matta. Nie można pozwolić na to, żeby pani Lawrence odebrała mu jego skarb!

Udało się jej powstrzymać łzy do chwili, gdy zobaczyła swój dom, ale kiedy tylko znalazła się w salonie, wybuchnęła głośnym płaczem. Rodzice podskoczyli na równe nogi.

- Laurie, co się stało?! - zawołała pani Adams, biegnąc do córki.

Pan Adams objął ją ramieniem.

- Czy coś ci się stało, kochanie? Miałaś wypadek?

- Nie, nic mi nie jest, samochód też w porządku. Chodzi o Matta! Został aresztowany! - wykrzyknęła. - Pani Lawrence oskarżyła go o włamanie i kradzież. On potrzebuje adwokata. Tato, musisz natychmiast pojechać ze mną na posterunek!

Nim zdążyła skończyć zdanie, pan Adams już zmierzał w stronę korytarza po swój płaszcz.

Odwracając się do matki, Laurie powiedziała:

- Mamo, czy mogłabyś zadzwonić do rodziców Matta? - Podała jej kartkę z numerem Matta i już zmierzała w stronę drzwi wyjściowych, gdy nagle olśniła ją pewna myśl.

- Tato, zaraz przyjdę! - zawołała. - Będziemy potrzebowali pewnej rzeczy.

Pobiegła z powrotem do domu, prosto do gabinetu ojca. Chwilę potem wsiadała do samochodu, ściskając pod ramieniem Biblię króla Jamesa.

Po drodze na posterunek pan Adams zasypywał ją pytaniami niczym prokurator. Laurie opowiedziała mu o wizycie w szpitalu, o podarunku Grampsa i o tym, jak wraz z Mattem starali się rozwikłać zagadkę wersetów.

- Czy Matt ma przy sobie oryginalny zapis? - dociekał pan Adams. - Ten z podpisami świadków?

- Ja... nie wiem - odparła z rozżaleniem. Pan Adams zachmurzył się.

- Miejmy nadzieję, że ma go przy sobie.

Kiedy dotarli do posterunku i zatrzymali się na parkingu przed wejściem, Laurie zauważyła, że stoi tam oprócz wozu policyjnego jeszcze tylko jeden pojazd - luksusowy srebrny cadillac.

- Założę się, że należy do pani Lawrence - powiedziała Laurie do ojca. - Nie wiem, dlaczego ona tak nienawidzi Matta. Przyjechała aż z Bostonu, żeby narobić mu kłopotów!

Pan Adams uścisnął szybko córkę.

- Rozchmurz się, kochanie. Jeszcze niczego nikomu nie udowodniła.

Weszli na posterunek. Laurie podeszła do niemłodego



sierżanta, siedzącego przy biurku.

- Przyszliśmy do Matta Hardinga - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Sierżant zmarszczył czoło.

- To nie są godziny odwiedzin. Możecie go zobaczyć na przesłuchaniu. Sędzia Brewster już tu jedzie.

Pan Adams stanął obok córki.

- Dobry wieczór, sierżancie Cochran. Nazywam się Thomas Adams i jestem adwokatem Matta Hardinga, a to moja córka, Laurie. Mam prawo porozmawiać z moim klientem.

- Panie Adams - odparł policjant - dobrze pan wie, że nieletni nie potrzebuje adwokata na przesłuchaniu. Sędzia tylko...

- Sierżancie, nie musi mi pan tłumaczyć, na czym polega przesłuchanie - przerwał mu pan Adams. - Matt ma prawo do tego, żeby towarzyszył mu adwokat, a ja chcę z nim porozmawiać.

Policjant wzruszył ramionami.

- Jak sobie tam chcecie. - I wskazując na drzwi, dodał: - Chłopak jest tam.

Laurie pospiesznie wbiegła do małego, pustego pokoiku, a za nią wszedł ojciec. Matt siedział przy stole z twarzą opuszczoną na dłonie. Wyglądał tak bezradnie i samotnie, że Laurie poczuła, że serce zaraz pęknie jej z żalu.

- Matt - odezwała się, podchodząc do niego. - Przeprowadziłam mojego tatę. On jest prawnikiem. Pomoże ci.

Matt podniósł głowę. Rozpacz na jego twarzy przemieniła się w nadzieję. Podskoczył na równe nogi i złapał Laurie za rękę.

- Dzięki, Laurie - wyrzucił z siebie zduszonym głosem. - Mogłem się domyślić, że można na ciebie liczyć. Panu także dziękuję, panie Adams - dodał, puszczejąc dłoń Laurie i potrząsając dłonią ojca.

Potem cała trójka usiadła przy stole na twardych krzesłach.

- Domyślałam się, że Laurie wszystko panu wyjaśniła, sir - zaczął Matt. - Bez względu na to, co mówi pani Lawrence, nie włamałem się do jej domu ani niczego nie ukradłem.

Pan Adams twierdząco pokiwał głową.

- Wierzę ci. Czy masz przy sobie ten dokument, który dał ci pan Allerton? Oryginał, nie kopię.

Matt dotknął kieszeni na piersi.

- Mam go tutaj - odrzekł, a Laurie odetchnęła z ulgą.

- To dobrze - ucieszył się pan Adams. - A teraz opowiem ci, co się wydarzy na przesłuchaniu. Nie jest to sprawa rozpatrywana przez sąd, więc sędzia Brewster nie pozwoli mi się odzywać. Sam będzie zadawał ci pytania. Tak więc na razie wesprę cię tylko swoją obecnością. Mów całą prawdę bez względu na to, o co cię będą pytali.

Nagle pukanie przeraziło całą trójkę. Drzwi otworzył sierżant Cochran i oświadczył:

- Sędzia już jest. Chodźcie za mną.

Jedną rękę ściskając Biblię, a drugą ramię Matta, Laurie poszła za policjantem i ojcem korytarzem do małej salki przesłuchań. Sędzia Brewster siedział już na swoim miejscu, a przed nim stał oficer O'Hara. Poza nimi w sali znajdowali się tylko pani Lawrence i dystyngowany siwy pan siedzący w tyle sali. Sierżant Cochran zaprowadził Matta i pana Adamsa do stolika na przedzie, Laurie zaś usiadła na krześle tuż za nimi.

- Dobrze - huknął sędzia Brewster. - Jak rozumiem, mam ustalić, czy doszło do popełnienia przestępstwa, czy nie. To przesłuchanie ma na celu wyjaśnienie kilku spraw. Po pierwsze, czy mamy *prima facie* przeciwko Mattowi Hardingowi? - spojrzał na Matta. - To znaczy, czy mamy dowody na to, że rzeczywiście złamałeś prawo. Rozumiesz?

Matt skinął głową.

- Po drugie, jeśli uznam, że do tego doszło, muszę ustalić, czy mogę wypuścić oskarżonego do czasu rozprawy przed sądem dla nieletnich - znowu zwrócił się z wyjaśnieniami do Matta. - Innymi słowami muszę stwierdzić, czy na wolności nie będziesz stanowił społecznego zagrożenia lub nie będziesz próbował uciec.

Matt ponownie kiwnął głową. Społeczne zagrożenie, pomyślała Laurie z niedowierzaniem. Jakie to nedorzeczne! Poza tym Matt nigdy by nie uciekł.

- Po trzecie, muszę zdecydować, czy mam wypuścić oskarżonego bez kaucji. - Zwracając się do Matta, wyjaśnił: - To znaczy, że jeśli znajdę powód, by podejrzewać cię o chęć ucieczki, będziesz musiał zapłacić za opuszczenie aresztu. Kiedy pojawisz się w sądzie, pieniądze zostaną ci zwrócone. Czy to jasne?

Matt skinął głową, a Laurie zacisnęła rękę w pięść. On przecież nie ma żadnych pieniędzy. Jeśli każą mu wpłacić kaucję, przesiedzi w areszcie całe tygodnie. Co się stanie z jego rodziną?

Potem pomyślała o czeku na dwieście dolarów, który właśnie wysłała na konto Akcji Pomocy. Możliwe, że gdy zadzwoni do ciotki Missy i powie jej, że nie może jechać, pieniądze zostaną jej zwrócone. Ale czy Matt nie będzie zbyt dumny, żeby przyjąć od niej pomoc?

- Powtarzam - huknął sędzia Brewster - to nie jest sprawa sądowa. Zebraliśmy się tu, żeby ustalić, czy taka sprawa w ogóle jest potrzebna. Panie oficerze - zwrócił się do O'Hary - proszę się zbliżyć i opowiedzieć ze szczegółami, co się dzisiaj wydarzyło.

Policjant stanął przed sędzią.

- Wysoki Sądzie - zaczął - o dziewiętnastej piętnaście na posterunek zadzwoniła pani Margaret Lawrence. Pani Lawrence poprzedniego dnia odwiozła swojego ojca, pana Allertona, do Bostonu na operację serca, ale wróciła do Chilton, żeby zająć się sprawami związanymi z majątkiem ojca. Kiedy podjechała pod jego dom, zobaczyła zapalone światła. Właśnie wtedy zadzwoniła na posterunek. Kiedy przyjechałem do rezydencji pana Allertona, pani Lawrence czekała na mnie na zewnątrz. Przekonaliśmy się, że drzwi domu są otwarte. Weszliśmy z panią Lawrence do środka i zastaliśmy tam tego młodzieńca - wskazał na Matta - i tę młodą damę - wskazał na Laurie. - Szukali czegoś. Stali przed sejfem w ścianie, który był otwarty, a na podłodze pod ścianą leżał obraz. Pani Lawrence powiedziała mi później, że obraz wisiał na ścianie i zasłaniał sejf.

Laurie poczuła na czole kropelki potu, bo słuchając zeznania policjanta zdała sobie sprawę, że jego słowa brzmią bardzo

oskarżycielsko.

- Zapytałem chłopaka, co wyjął z sejfu, a on powiedział, że ten list. - Policjant położył list przed sędzią. - Oskarżony oświadczył, że list należy do niego. Twierdził, że dostał go od pana Allertona. Twierdził też, że nie włamał się do domu ani niczego z niego nie ukradł.

- Powiedział pan, że drzwi były otwarte - upewnił się sędzia Brewster. - Czy wyłamano zamek?

- No cóż, nie wyglądało na to - nawet patrząc na niego z tyłu Laurie wiedziała, że policjant nie czuje się w tej chwili pewnie - ale tak naprawdę to nie miałem czasu tego sprawdzić.

Sędzia skinął głową.

- Rozumiem. A co z sejfem? Czy został otwarty siłą?

- Och - tego też nie miałem czasu sprawdzić, Wysoki Sądzie, ponieważ musiałem przewieźć aresztanta na posterunek. Ale wrócę tam jeszcze dzisiaj.

Sędzia podniósł kopertę i przez chwilę uważnie się jej przyglądał.

- Twierdzi pan, że ten młody człowiek wyjął z sejfu tylko to?

Policjant skinął twierdząco głową.

- Przeszukaliśmy oskarżonego po przywiezieniu go na komisariat, Wysoki Sądzie. Miał przy sobie tylko portfel zawierający dwa dolary i pięćdziesiąt trzy centy, pęk kluczy i jakąś zapisaną kartkę w kieszeni koszuli. Żadnych kosztowności ani biżuterii.

- A dziewczyna? - Laurie skuliła się, kiedy ostry wzrok sędziego spoczął na niej. - Czy ją także pan przeszukał?

- Och, nie, Wysoki Sądzie - uczciwie przyznał się oficer O'Hara. - Pani Lawrence nic nie mówiła o dziewczynie. Powiedziała, że złodziejem jest chłopak.

Sędzia Brewster pokręcił z zadumą głową.

- Może pan usiąść, oficerze. Matthew Harding, proszę podejść.

Patrząc, jak Matt wstaje i podchodzi do sędziego, Laurie pochyliła się i zagryzła usta. Gdyby mogła stać tam koło niego!

Gdyby mogła mu w jakiś sposób pomóc!

- Matcie Harding, oświadczyłeś, że nie włamałeś się do domu pana Allertona. W takim razie jak się tam dostałeś? - zapytał sędzia.

Matt uniósł pęk kluczy, wskazując na jeden z nich.

- Pan Allerton dał mi ten klucz jakiś czas temu, Wysoki Sądzie - odparł. - Pracowałem u Grampsa, to znaczy, pana Allertona, już od jakiegoś roku. Wykonywałem różne prace domowe, a także opiekowałem się jego zwierzętami i ogrodem. Kiedy pan Allerton dowiedział się, że nie wróci już do domu, powiedział pani Lawrence, że mam zatrzymać klucz i dalej opiekować się domem.

Sędzia Brewster spojrział na panią Lawrence.

- A więc córka pana Allertona wiedziała, że masz klucz? Matt skinął głową.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Ale o dziewiętnastej piętnaście dzisiejszego wieczoru nie zajmowałeś się zwierzętami ani opieką nad domem - uściślił sędzia. - Otwierałeś sejf.

- Tak, zgadza się - cicho potwierdził chłopak. - Kiedy wraz z Laurie odwiedziliśmy pana Allertona w szpitalu, powiedział, że ma dla mnie podarunek, i dał mi kartkę, na której znajdowała się informacja o tym, w jaki sposób mam odnaleźć ukryty sejf. Na tej samej kartce zapisał też szyfr, żebym mógł go otworzyć.

Kątem oka Laurie widziała, że pani Lawrence patrzy na Matta ze wściekłością. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale jej adwokat powstrzymał ją przed tym. Sędzia Brewster ponownie podniósł kopertę.

- A to jest podarunek, który pan Allerton chciał ci dać, podarunek tak drogocenny, że trzymał go w tajnym sejfie? - zapytał sceptycznie.

- Wysoki Sądzie - zaczął Matt - pan Allerton jest kolekcjonerem znaczków i przekazywał mi swoją wiedzę na ten temat. Znaczkę na tej starej kopercie mają dużą wartość. Prawdopodobnie warte są około czterystu tysięcy dolarów.

Pani Lawrence podskoczyła na nogi.

- Widzisz?! - zawołała z tryumfem. - Wielkie oszustwo, to właśnie jest to, Milesie Brewster! Doskonale pan wie, że mój ojciec nie miał prawa nikomu nic dawać bez mojego pozwolenia!

Sędzia sięgnął po młotek i uderzył nim w stół.

- Spokój! - zawołał. - Za chwilę będzie pani miała okazję się wypowiedzieć, Margaret. A na razie proszę nie przeszkadzać.

Trzęsąc się z wściekłości, pani Lawrence opadła na krzesło, a sędzia Brewster ponownie zwrócił się do Matta.

- Twierdzisz, że pan Allerton na piśmie przekazał ci instrukcję mówiącą o tym, jak odnaleźć sejf i jak go otworzyć. Czy możesz pokazać mi tę kartkę?

Matt natychmiast sięgnął po zmięty kawałek papieru i podał go sędziemu. Ten założył okulary i popatrzył na kartkę, po czym spojrzał z gniewem na oskarżonego.

- Czy to jakieś żarty, młodzieńcze?! - ryknął. - Tu nie ma nic więcej tylko spis wersetów z Biblii!

- Tato! - wybuchnęła Laurie. Kiedy ojciec odwrócił się w jej stronę, rzuciła mu w ręce Biblię. Pan Adams bez słowa zaniósł ją sędziemu i położył przed nim na stole, potem wrócił na swoje miejsce.

- Proszę przeczytać odpowiednie wersety, Wysoki Sądzie - nalegał Matt.

Nadal wściekły sędzia Brewster zaczął kartkować Biblię.

## ROZDZIAŁ 11

Na sali zapadła całkowita cisza, nie licząc szelestu przekładanych kartek i mamrotania sędziego.

- Bogactwa ukryte... wejście do domu... otwór w ścianie... hm. Znam sposób myślenia starszaka i zdaje się, że zaczynam rozumieć. Złote jabłka na srebrnym obrazie...

Sędzia Brewster zmarszczył brwi i zwrócił się podejrzliwie do Matta:

- O co chodzi z tym złotem i srebrem?

- To obraz, Wysoki Sądzie - wyjaśnił Matt. - Ten, który zasłaniał sejf. Przedstawia żółte owoce i ma srebrną ramę.

Sędzia powrócił do studiowania Biblii. Chwilę później ponownie spojrzął na chłopaka i potrząsnął głową.

- Sądziłem, że Bill lepiej zna Pismo. W Księdze Liczb nie ma tylu rozdziałów.

- Wiem, sir - potwierdził Matt. - Nas też to na początku zbiło z tropu, ale potem Laurie wpadła na pomysł, że Gramps podaje nam w ten sposób szyfr do sejfu.

Ku zaskoczeniu Laurie sędzia Brewster odchylił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Stary cwaniak! - zawołał. - Nikt poza Billem Allertonem nie wymyśliłby czegoś podobnego! Możesz usiąść, Matcie Hardingu. Margaret, teraz twoja kolej.

Kiedy pani Lawrence zbliżała się do miejsca dla świadków, a Matt wracał na swoje, sędzia posłał Laurie życzliwy uśmiech. Choć zaskoczona, odpowiedziała mu uśmiechem, ale mimo wszystko denerwowała się, obawiając się zeznania pani Lawrence.

- Cóż, Margaret - zaczął sędzia - wydaje się oczywiste, że twój ojciec pragnął podarować te znaczki Mattowi. Nie widzę dowodów ani na włamanie, ani na kradzież. Masz nam coś więcej do powiedzenia?

- Oczywiście, że tak! - Zachnęła się. - Doskonale pan wie, sędzio, że mój ojciec nie jest na tyle sprawny umysłowo, żeby zajmować się w sposób rozsądny swoimi sprawami. Rozdawał

pieniądze, jakby to były śmiecie! Choćby to! Tuż przed moim przyjazdem w poniedziałek rano wysłał osiemset dolarów na konto jakiejś organizacji o nazwie Akcja Pomocy. - Określiła się i wskazała palcem na Laurie. - To ta dziewczyna go do tego namówiła. Jestem pewna. Razem z chłopakiem tworzą niczego sobie parę naciągaczy!

Laurie poczuła na policzkach łyzy wdzięczności. Pomimo choroby Gramps pamiętał o jej planach.

- Chciałabym panu przypomnieć, panie sędzio - ciągnęła Margaret Lawrence - że w poniedziałek po południu podpisał pan dokument, na mocy którego stałam się zarządcą majątku ojca. Zgodnie z tym dokumentem ojciec nie może nikomu nic podarować bez mojej pisemnej zgody. Sędzia skinął głową.

- Pamiętam o tym doskonale. - Podnosząc list od Grampsa, przyjrzał mu się ponownie. - Czy to pani podpis widnieje pod tekstem?

Pani Lawrence przemknęła wzrokiem po dokumencie.

- Tak, mój, ale podpisałam tylko po to, żeby zrobić przyjemność schorowanemu staremu człowiekowi.

- A kiedy pani ojciec napisał ten dokument? - spokojnie dociekał sędzia.

- W szpitalu, kiedy odwiedzili go ten chłopak i dziewczyna.

- Czy była pani przy tym obecna? Skinęła głową.

- Naturalnie, nie zostawiłabym go samego z tą dwójką naciągaczy!

Laurie, słysząc to, z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć z wściekłością, że nie są naciągaczami, że to ona jest chciwa!

- Pani ojcu musiało zająć wiele czasu przewertowanie Biblii i znalezienie wszystkich odpowiednich ustępów - zauważył sędzia.

- Nie przyszło pani do głowy, że coś planuje?

- Wcale ich nie wyszukiwał - warknęła. - Napisał je z pamięci.

Na twarzy sędziego pojawił się szeroki uśmiech.

- Napisał je z pamięci - powtórzył. - A pani twierdzi, że



ojciec dziecinnieje i ma kłopoty z głową. Chciałbym mieć tak sprawny umysł jak on! - Uśmiech z twarzy sędziego znikł. - Pani Lawrence - zaczął oficjalnym tonem – dowody tu przedstawione w żadnym wypadku nie obciążają obecnego Matta Hardinga. Pani ojciec najwyraźniej ma o tym chłopcu bardzo wysokie mniemanie i pragnął podarować mu ten drogocenny prezent. Pomimo pani oporu, udało mu się zdobyć pani pisemną zgodę i to w obecności świadków. A teraz radzę powrócić do Bostonu i zaopiekować się ojcem, jak na kochającą córkę przystało. A przy okazji proszę pozdrowić ode mnie Billa. - Znowu uderzył młotkiem w stół. - Przesłuchanie zakończone.

Pani Lawrence wyglądała jak napęczniały balon, który ktoś właśnie przekłuł szpilką. Kiedy odchodziła, sędzia Brewster, trzymając w ręce cenną kopertę, wstał ze swojego miejsca i podszedł do Matta.

- Chłopcze - zaczął ciepło - zapewne nie wiesz, że pan Allerton często o tobie mówił. Kiedyś powiedział mi, że chcesz dostać się na studia i zostać weterynarzem. - I podając Mattowi kopertę, ciągnął: - Postaraj się, żeby był z ciebie dumny, rozumiesz?

Matt prawie nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Będę się starał, sir - przyrzekł, potrząsając dłonią sędziego.

Laurie miała ochotę krzyczeć z radości, ale jakoś się pohamowała. Opuścili posterunek i dopiero kiedy znaleźli się na parkingu, zarzuciła Mattowi ręce na szyję.

- Och, Matt, tak się cieszę! To takie wspaniałe, że aż trudno w to uwierzyć!

- Wiem, sam w to jeszcze nie wierzę - odparł, mocno przyciskając ją do siebie. Spoglądając jej w oczy, wyszeptał: - Dzięki za wszystko, Laurie. Bez ciebie nie rozgryzłbym przesłania Grampsa.

Pan Adams uśmiechnął się do nich.

- Chodźcie - powiedział, wsiadając do samochodu. - Wracajmy do domu, żeby Matt mógł zadzwonić do rodziców i przekazać im dobre nowiny.

Po drodze dodał:

- Matt, mam w biurze sejf. Może zdeponujesz w nim swój skarb, a kiedy będziesz zdecydowany na sprzedaż znaczków, pomogę ci znaleźć odpowiedniego kupca.

Chłopak z wdzięcznością skinął głową.

- Dziękuję, panie Adams. Z chęcią skorzystam z pana propozycji.

Kiedy tylko dotarli do domu, zaraz zadzwonił do rodziców, a Laurie z ojcem zreferowali pani Adams przebieg wydarzeń. Była zachwycona i uznała, że taką okazję należy uczcić. Wraz z Laurie przyniosły z kuchni mleko i ciasto czekoladowe, które zostało po obiedzie, i wszyscy zasiedli przy stole w jadalni. Matt uniósł szklanę.

- Chciałbym wznieść toast - powiedział uroczyście. - Za Grampsa Allertona, który podarował mi nadzieję i przyszłość.

Tylko Laurie zorientowała się, że nawiązuje do pierwszego z wersetów wypisanych przez Grampsa. Spojrzeli na siebie i wymienili ciepły uśmiech porozumienia.

Nagle pani Adams dotknęła czoła, jakby właśnie coś sobie przypomniała.

- Och, Laurie, zupełnie zapomniałam! Cały wieczór wydzwaniała do ciebie Jane. Dzwoniła co piętnaście minut i w końcu poprosiła, żebyś się do niej odezwała, kiedy tylko wrócisz, nieważne o jakiej porze.

- Ciekawe, o co jej chodzi - zdziwiła się Laurie. - Chyba lepiej zadzwonię i dowiem się.

Niechętnie opuszczała Matta, jednak ciekawość była silniejsza. Przeszła do holu i wykręciła numer Jane.

- Laurie! - zapiszczała przyjaciółka zaraz po odebraniu telefonu. - Gdzie się podziewałaś? Twoja mama była taka tajemnicza. - Zanim Laurie zdążyła jej odpowiedzieć, Jane dodała: - Nieważne, mam fantastyczną wiadomość!

Laurie roześmiała się.

- Ja też mam dla ciebie fantastyczną wiadomość, ale mów pierwsza.

- Nie uwierzysz w to - paplała Jane - ale Elaine Desmond zrezygnowała z występu w sztuce!

- Żartujesz! - Laurie aż sapnęła. - Co się stało? Czy zachorowała? Może miała wypadek?

- Nic z tych rzeczy. Ciotka zaprosiła ją na miesiąc do Paryża. Elaine wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Powiedziała, że to jej życiowa szansa i za nic z niej nie zrezygnuje.

- Ale... ale - zająknęła się Laurie - ale jak ona może to zrobić? Pani O'Connor będzie musiała odwołać przedstawienie! Jak może tak po prostu zrezygnować i zostawić wszystkich po takiej ciężkiej pracy?

Jane sarknęła w słuchawkę.

- A kiedyż to Elaine myślała o innych?

- Ho, ho! - zachłysnęła się Laurie. - Pani O'Connor musi być wściekła!

- Była, dopóki jej nie powiedziałam, że znasz wszystkie piosenki Elizy Doolittle i cały tekst! Powiedziała, że jeśli przejmiesz rolę, ustawi próby tak, żeby nie kolidowały z twoją pracą. Mogą się odbywać nawet o północy!

Laurie była tak zdumiona, że odsunęła słuchawkę na długość ramienia i wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

- Laurie! Powiedz coś! Jesteś tam jeszcze? - krzyknęła Jane.

- Tak, jestem - potwierdziła, z powrotem przykładając słuchawkę do ucha. - Jane, przecież do premiery zostały tylko dwa tygodnie!

- Wiem, ale jestem pewna, że szybko nadrobisz zaległości. - I dodała podstępnie: - Poza tym potrzebujemy cię, Laurie. To będzie dobry uczynek wyświadczony wszystkim osobom związanym ze sztuką. Powiedz, że się zgadzasz, Laurie, proszę?

Laurie nabrała powietrza. Nigdy nie potrafiła odmówić prośbie o pomoc, o czym Jane bardzo dobrze wiedziała. Poza tym jest przecież urodzoną aktorką i już czuła zew talentu.

- OK - powiedziała w końcu - spróbuję.

- Hurra! - zawołał Jane tak głośno, że Laurie aż zadzwieczało w uszach. - Zaraz wszystkich obdzwonię. Pani O'Connor będzie w

siódmym niebie! Zobaczymy się rano!

Laurie odłożyła słuchawkę i nadal zaszokowana pomyślała, że ten dzień jest z pewnością najdziwniejszym, najbardziej zdumiewającym dniem w jej życiu.

Matt powtórzył jej myśli jakiś czas później, kiedy odwoziła go do domu. Wcześniej zadzwonił do nich doktor Miller z zapewnieniem, że Gramps czuje się lepiej. Siedzieli w samochodzie przed domem Matta, gdy nagle chłopiec przyciągnął ją delikatnie do siebie.

- To był najlepszy dzień w moim życiu, Laurie - westchnął. - Pamiętasz tą piosenkę, którą śpiewałaś na wieczorze dla rodziców?

Skinęła głową, wtulając się w niego z lubością.

- Tak, pamiętam. Coś dobrego ci się przydarzyło. I tak się stało nam obojgu. Wygląda na to, że nasze marzenia się spełnią.

- Ale wiesz co? - Matt popatrzył na nią, uśmiechając się przy tym ciepło. - Najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu, jesteś ty.

Zadrżała z zachwytu.

- Lepszą niż Hawajskie Misjonarki? - zażartowała.

Zamiast odpowiedzieć, Matt pochylił się i pocałował ją, a ona usłyszała, jak jej serce śpiewa „Czy nie byłoby pięknie...!”